№ 49. Warszawa, dnia 26 Listopada (8 Grudnia) 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym roku 1884, **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Odwołując się w szczegółach do Prospektu oddzielnie wydanego, tu tylko donosimy, że w pierwszem półroczu udzielimy jako **Premium bezpłatne** wszystkim Prenumeratorom piękny **Oleodruk** za granicą przygotowany a mogący w oprawie stanowić ładną ozdobę każdego salonu.

O kosztach przesyłki Oleodruku i opakowania, niewielką wynoszących kwotę, później doniesiemy.

Warunki prenumeraty mieszczą się w każdym numerze pod tytułem.

NA PRZYJACIELA DZIECI

prenumerata wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . .	**rs. 1 k. 25**
Półrocznie	**rs. 2 k. 50**
Rocznie	**rs. 5**

W pierwszym półroczu roku przyszłego 1884, wszyscy Prenumeratorowie otrzymają jako **Premium, piękny Oleodruk bez żadnej dodatkowej opłaty**, jedynie za zwrotem niewielkich kosztów opakowania i przesyłki pocztowej.

Szczegóły co do samego Pisma mieszczą się w Prospekcie oddzielnie wydanym.

SŁÓWKO W SPRAWIE ŻYDÓW.

Po za kwestyami polityczn[illegible], które wstrząsają co rok niemal posadami Europy, wyłania się dla ludzkości niemniej ważna kwestya społeczno ekonomiczna: semicką zwana.

Jeżeli pierwsze z woli rządzących, mogą być tak lub inaczej rozstrzygnięte, w kwestyi semickiej chodzi bezpośrednio już nie o jeden naród, ale o wszystkie zaludniające naszą ziemię.

Gdyby tylko u nas wystąpiono z zarzutami przeciw Izraelitom, gdyby u nas tylko krzywo patrzono na ten nowy naród w narodzie, na przybyszów obcych, spychających dziś prawowitych mieszkańców wprost z drogi do rowu, możnaby obwiniać o te zamieszki społeczne to lub owo stronnictwo, tych lub owych agitatorów. Możnaby nawet, jak to niektóre pisma czynią, zwalić wszystko na karb tak zwanej naszej niedojrzałości politycznej, braku zmysłu przewidywania i t. p.

Rzuciwszy jednak okiem do koła, na zewnątrz naszego kraju, sprawa żydowska zupełnie nam się inaczej przedstawia.

Nie ma narodu, śród któregoby, od lat wielu niegromadziły się chmury grożące lada dzień strasznym wybuchem, nie ma zakątka ziemi, z którego niedolatywałby do nas jęk ciemiężonych.

Daremnie żarliwi obrońcy semityzmu, usiłują czysto ekonomiczną walkę, sprowadzić na pole religijne, daremnie biją na gwałt w dzwony tolerancyi i ubolewają nad ludem, którego świat chrześciański chce jakoby pozostałej mu, już tylko duchowej pozbawić świątyni.

Dawniej tłumy, pozostając pod bezpośrednim wpływem źle zrozumianej wzniosłej zasady Chrystusowej, bezwiednie może łączyły nienawiść swą do Żydów, jako do rasy żyjącej ich kosztem, z nienawiścią jaką w nich ku innowiercom obudzić umiano. Dziś, o jakichbądź waśniach wyznaniowych nawet i mowy być nie może. Przez wszystkie dziury płaszczyka tych, co przemawiają za Żydami w imię jakoby niechęci religijnej, przegląda z wiedzą i uporem przeprowadzane usiłowanie wykolejenia sprawy zepchnięcia jej na błędne tory.

Do Izraelitów, jako do wyznawców doktryn Mojżesza, nic nie mamy, tak samo jak i do zwolenników Islamu lub Fetyszyzmu.

Dziś nawet chłop już u nas, lub mieszczanin małomiasteczkowy, w niechęci swej do Żydów nie ma na myśli wyznawców Judaizmu, ale lichwiarzy, wyzyskiwaczy i szachrajów, paplających niezrozumianym dla nich szwargotem, ludzi, jak powiadają Francuzi *de sac et de corde*, dla miłego grosza zdolnych do wszystkiego.

Występując jednak przeciw Żydom, mamy zupełne prawo żądać, aby w kraju, wszyscy jego obywatele pod jednym kroczyli sztandarem, aby głos sumienia religijnego łączył się w jeden harmonijny akord z głosem sumienia narodowego

aby poczucie godności osobistej u wszystkich i w jednym rozwijało się kierunku.

Nienapadając tedy bezwzględnie na Izraelitów, ale też i nie broniąc ich zawzięcie, postaramy się wypowiedzieć zdanie nasze w kwestyi, tak boleśnie dotykającej nasze społeczeństwo.

* * *

Państwo żydowskie w ostatnich latach swego istnienia, to jest w epoce Chrystusowej, przedstawiało smutny obraz politycznego i społecznego rozstroju. Stronnictwa wichrzące w kraju, oddziaływały na zewnątrz najszkodliwiej, sprowadzając obcych, na których orężu wsparte, starały się otrzymać berło władzy.

Ostatecznego zniszczenia i rozproszenia Żydów dokonał Wespazyan i Tytus zburzeniem Jerozolimy i straszliwą rzezią w r. 70 po narodzeniu Chrystusa.

Od owej pamiętnej w dziejach daty, przez ciąg lat czterdziestu, zapanowała głucha cisza śmierci: w tym krótkim stosunkowo przeciągu czasu, zatraciła się chwilowo nawet nazwa Jerozolimy, przedstawiającej kupę zwalisk, nic więcej. W roku 115, po pierwszem pozornie tylko udanem pokuszeniu się Żydów o odzyskanie niepodległości, nastąpił cały szereg niepowodzeń, w których niedoduszone resztki nieszczęśliwego ludu, padły pod toporem Rzymian — powleczone do cyrków rzymskiej Syryi, Grecyi i na półwysep apeniński, skonały w zapasach między sobą lub z dzikiemi zwierzętami. Ostatni padli w r. 135.

Nigdy i na żadnym ludzie nie spełniła się straszliwiej dziejowa przepowiednia, jak na Żydach! Zostali oni literalnie niemal wytraceni. Roma spać mogła spokojnie bo już i w cyrkach niestało ofiar z prześladowanego plemienia.

Na wyspach tylko greckich, na wybrzeżach Morei i na Zachód, w dzisiejszych Włoszech, jak i na południu Galii i na wschodzie Iberyi, przy wołach roboczych, w kopalniach, lub przy budowie świątyń pogańskich, pobrzękiwali jarzmem żydowscy niewolnicy, w przedsionkach komnat patrycyuszów więdły Saaronu róże, oddane na pastwę upodleniu.

I oto, sto lat nieubiega, a już tu i owdzie powstają kolonie synów Judy, kwitną w nich nauki i sztuki, rozwija się, oczyszcza z obcych naleciałości język, przestrzegane bywają przykazania Boże i zapełniają się improwizowane, tymczasowe świątynie.

Z początku, w stu zakątkach, gromadki wygnańców, niewiedząc nic wzajem o sobie, pracują śród zażartych wrogów; otoczeni ze wszech stron poganami.

Przedewszystkiem, bądźmy sprawiedliwi.

Dzieje rozproszonego przez wrogów ludu, są przez długie lata jedną wielką straszliwą epopeją boleści. Zaledwie, że wygnańce otrzymują jakie takie swobody w Italii, zapalają już dla nich stosy w Toledo, w Kordowie i w Pampelunie, niezgasły jeszcze płomienie w Iberyi, a już w Anglii, podczas, gdy Ryszard lwie serce walczy w Palestynie, potoki krwi żydowskiej zlewają bruk Londynu. I tak wszędzie przez całe wieki, wygnańcy azyatyccy spotykają na drodze swej ciernie i głogi. Mają złoto lecz zbroczone w krwi i ociekłe kałem, walcząc zajadle o zdobycie sobie siły oporu, zyskują śmierć lub upodlenie.

Dlaczego?

Wszakże w samych początkach ich rozproszenia, gdy wrzało wszystko przeciw nim w upojonej tryumfem Romie rozbestwionych cezarów, widzimy ich w Grecyi i w Hiszpanii, w Persyi, w Syryi i w Egipcie na zupełnie niezależnych, często nawet świetnych stanowiskach. Dostarczają oni tam olbrzymiego kontyngensu wszelkiej nauce, wyzwalającym się sztukom i t. p. Spotykamy ich na krzesłach ministrów, wielkorządców, z buławą wodzów w dłoni, lub z berłem uczonych, przed którymi tłumy uderzały czołem. W r. 988, Żydzi między Wołgą a Dnieprem niżowym, do takiej dochodzą potęgi i przewagi, do takich bogactw i rozkwitu zakrawającego niemal na państwowy, iż wysyłają do ks. Włodzimierza Wielkiego poselstwo z przedłożeniem, aby z całym swym ludem przyjął wiarę mojżeszową. Na Szlązku, w roku 1219 i następnych książęta obsypują ich dobrodziejstwami, we Włoszech dopiero w roku 1435 zaczęto ich na seryo prześladować, tak że nawet papieże sami stawali w ich obronie. Zresztą np. na Węgrzech, po słynnym roku 1685, otrzymali zupełne równouprawnienie.

Nieraz, ale tysiąc razy śród ośmnastu wieków, Żydzi przy odrobinie dobrej woli, mogli byli wywalczyć sobie wybitne stanowisko, stworzyć nową ojczyznę.

Ośmnaście wieków mrówczej co do wytrwałości choć lekkiej fizycznie pracy nieprzebierającej w środkach, pracy cichej, i to jeszcze przy takiej niesłychanej spójności narodowej, niedoprowadziły jednak do niczego więcej prócz do wstrętu, obrzydzenia i wzgardy.

Jak w pierwszym wieku po Chrystusie, tak i dziś, wyraz „Żyd" pozostał najdotkliwszą obelgą w ustach szlachetnej ludzkości, znamionującą wszelkie wady, wszelkie przestępstwa a natomiast... ani jednej cnoty!

Czy potomkowie kilku milionowego, w $^{9}/_{10}$ częściach wytraconego azyatyckiego ludu, mają dziś prawo, żyjąc rozproszeni na całej kuli ziemskiej, podawać sobie moralnie i materyalnie rękę dla tem łatwiejszego wyzyskiwania tych właśnie, którzy ich w dom swój gościnnie przyjęli?

Utracając powoli poczucie miłości ojczyzny w tem znaczeniu o ile ona związek mieć mogła bezpośredni z ich azyatycką ojczyzną, utracali i język hebrajski, nigdy jednak na seryo nie przyjęli mowy swych dobroczyńców. Z resztek języka ojców i z obcych naleciałości zlepiali wszędzie ohydny szwargot im tylko samym zrozumiały, zlepiali go zaś nie dlatego, aby przynajmniej cień przeszłości przechować następnym pokoleniom, ale dla wyróżnienia się, dla utworzenia narodu w narodzie złączonego silnym węzłem solidarności, nadającym potęgę na szkodę tych w pośród których zamieszkali.

Upływa zaledwie kilka wieków od rozproszenia a już spotykamy wszędzie Żydów jako małe prawda liczebnie, lecz potężne bogactwami społeczności, dochodzące do tego, iż oddają im w zastaw nietylko dobra rycerskie, ale miasta, księstwa całe a nawet dobra duchowne.

Oni to frymarcząc wszystkiem we wszystkiem jedynie szukając zarobku, bez najmniejszego względu na dobro ogólne, ujęli w swoje ręce cały handel, przemysł, rękodzieła i t. d.

Wybucha wojna, pożycza na nią pieniądze Żyd tylko, ale pożycza na lichwę dotąd niepraktykowaną. Potrzeba użyć podstępu, okłamania, otumanienia, wszystkiego się podejmuje, służy, zabiega, ułatwia, dostarcza choćby trucizny, osłania kradzież, oszustwo, rabunek, byle mu płacono odpowiednio do przysługi od niego żądanej. Wyzyskując tak złe namiętności i dobrych skłonności bez wyciskania przez nie korzyści nie zostawiono w spokoju. Ufność, patryotyzm, uczucie własnej godności, szlachetność, dobroduszność nawet gorącą wiarę, wszystko to używa do posługi w jedynym celu... zarobku.

Ginęły ofiary, ale pasożyt się tuczył, rozwijał, rozszerzał i oplątywał wszystko i wszystkich niezrównanym sprytem przez długie lata wydoskonalonym.

Cóż więc dziwnego, że społeczność tak powoli nieznacznie, jak ofiara omotana splotami węża dusiciela, postanowiła wreszcie wydobyć się z przewagi obcego żywiołu i płacić za wiekowy wyzysk do ostateczności posunięty, nienawiścią i wzgardą tych, którzy jej tyle szkody przynieśli.

Wyjątkowe prawa względem Żydów już dawno usunięto, przeprowadzono równouprawnienie, dziś nikt już ich z powodu wyznania nie prześladuje, a jednak, znów ludzkość cała, prawie jak jeden mąż przeciw nim powstaje!

Dawna Polska, kraj gościnny, kraj pełen względności dla obcych wyznań, nawet w czasach wszechwładztwa Jezuitów, był zawsze dobrą, pobłażliwą matką dla synów Izraela. Gdy ich palono, wieszano, topiono, ścinano i łamano kołem, wszędzie niemal, u nas dawano im przytułek, dzielono się z nimi ostatnim kęsem chleba; jeżeli zaś tu i owdzie były prześladowania, to nietylko przejściowe, ale więcej na swawolę zakrawające, niż na jaki bądź ucisk z góry, racyonalnie obmyślany.

Mała liczba wyzwolonych z przesądów talmudycznych, godnych nawet naszej chluby, nie może tu wchodzić w rachubę.

Szanujemy ich i poważamy, ale po za tą garstką nic prawie nieznaczącą, roją się krocie pasożytów, dla których zysk i ubogacenie się jest wszystkiem choćby z ogólnem wszystkiego zniszczeniem.

Czyż jednak chcemy tych bogactw? Czyż pragniemy tych okrawków ziemi i tych ozdobnych murów, do których doszli bezwzględnym swym zabiegiem? Nie! wcale nie!

Bezinteresowności a nawet współczucia daliśmy dla nich już liczne dowody.

Nie pragniemy więc ich bogactw, ale domagamy się uczciwości w postępowaniu, rzetelności w rachunkach, wyzucia się z bezwzględnej chciwości podstępów, oszustwa, szachrajstwa, okłamywania, lichwy do ostateczności posuniętej, poślubienia pracy i zabiegu na istotnem dobru kraju opartych i choć szczypty poświęcenia bez widoków własnej korzyści. Dotąd Żydzi u nas byli zawsze naleciałością ujemną, niechże zostaną dodatnią, a kwestya tak zwana semicka raz na zawsze umorzoną zostanie.

Takim pierwiastkiem ujemnym od chwili swego rozproszenia, byli wszędzie, bo nigdzie własnego interesa z dobrem kraju, w którym znajdowali przytulisko, nie łączyli. Do końca niemal wieku IV-go, doznawali w miejscach pobytu opieki tak rządów jak ludności: w Illiryi, Hiszpanii, Minorce, Gallii i w niektórych miastach nadreńskich, zajmowali się rolnictwem, handlem, przemysłem,

posiadali gospodarstwa rolne, powoływani byli do urzędów i mieli własne sądownictwo. W piątym dopiero wieku rozpoczęło się prześladowanie Żydów, doszłe do srogości, przedtem przez nich nieznanej. A dlaczego? Bo wszędzie tworzyli naród w narodzie, wysysający soki jego najżywotniejsze i z takiemi dążnościami przyszedłszy do nas do dziś dnia z niemi się nie rozstali.

Powoływanie się na handel i przemysł jakoby przez nich dopiero u nas rozwinięte, jest bezzasadne.

Prawda, że oba te czynniki dobrobytu społecznego, w dawnej Polsce, były zupełnie zaniedbane, że gardzono nawet niemi, i że Żydzi korzystając z tego chciwie chwycili je w swoje ręce. Czy jednak podnieśli je do znaczenia, jakie zajmują w całej zachodniej Europie? Czy uzdolnili się do współzawodnictwa z cudzoziemcami i czy choć w jednym szczególe położyli tamę sprowadzania jego z zagranicy? Bynajmniej.

Cały ich przemysł nigdy wznieść się nie mógł po nad fuszerkę w przysłowie przeszłe, która nietylko zarzucała i zarzuca kraj cały tandetnej wartości wyrobami i towarami, ale tamuje rozwój nawet handlu i przemysłu narodowego z ogromną szkodą ogółu.

Któż bowiem niezna solidarności Żydów w utrzymaniu monopolu handlowego, który sobie niejako przywłaszczyli?

Któż niezna ich sprytnych zabiegów zwalczania choćby najmniejszej zachcianki do rozbicia jego powziętej?

Wszystkie środki tu użyte, choćby najnikczemniejsze, występują do walki, aby śmiałka zdruzgotać i dać z niego smutny przykład dla innych pragnących go naśladować. Wiekami zdobyte doświadczenie podaje im broń do tego bardzo skuteczną. Jednostki giną, handel i przemysł nie podnoszą się, ogół na tem niewymownie cierpi, nie mogąc usunąć przeszkody, paraliżującej wszelkie jego usiłowania w kierunku handlu i przemysłu podjęte.

Gdyby nie Żydzi z upadkiem wielu przesądów, jużby dawno fuszerstwo wygnane z rynków naszych zostało, gdyby nie Żydzi, już także dawno zostalibyśmy kupcami i przemysłowcami.

Konieczność, własny interes, zmusiłyby do tego, a że to się nie stało, im głównie zawdzięczamy. Wprawdzie nikt temu nie przeszkadzał, ale odstręczało współzawodnictwo z żywiołem tak w środkach nieprzebierającym.

I pod tym więc względem, stanowią, jak powiedzieliśmy, pierwiastek ujemny, ubożący kraj zmuszaniem do posiłkowania się zagranicą a przeszkadzający działaniu wydobycia się z tego położenia.

Nauka Chrystusa, uczy nas kochać nieprzyjaciół a przebaczać urazy! Spełniamy to chętnie, przeszłość puścimy w niepamięć, ale niech i Żydzi uczynią to co im sumienie uczynić nakazuje: niech zostaną istotnymi obywatelami ziemi, co ich zawsze dobrą była matką.

Wiemy dobrze, że tak od razu, pokolenie Judy nie zmieni się, że na to trzeba lat i wieków może, radzibyśmy jednak zobaczyć choć odrobinę dobrej woli z ich strony, choć jeden krok zrobiony w tym kierunku.

Oto smutna, bolesna prawda, którą wypowiadamy bez żadnej osłony, nie dlatego aby jątrzyć i zaogniać zadawane nam co chwila rany, ale aby wezwać zbłąkanych do upamiętania.

W dniu, w którym wyzyskujące nas tłumy zamienią się w obywateli pracujących wspólnie, dla wspólnego dobra, znikną i pisma antisemickie i obrońcy semityzmu. I jedne i drudzy utracą racyę bytu, póki zaś będziemy mieli Żydów, jakimi są dziś jeszcze, z małym niezmiernie wyjątkiem na istotne poszanowanie zasługujących, każdy człowiek uczciwy, każdy człowiek serca i sumienia, będzie się od nich odwracał ze wstrętem.

Z PIEŚNI NAD PIEŚNIAMI.

Wpij w moje czoło ust twych rubiny,
Krzepkiem ramieniem tul mnie do łona,
O! oblubieńcze, o mój jedyny!
O! najpiękniejszy z braci twych grona!...
Och! całuj, całuj!... wargi twe wrzące,
Jak słodycz wina takie palące...
Och! całuj, całuj! czar twej miłości,
Tak lubym dreszczem wstrząsa me kości!
W krwi mojej krąży żaru iskrami,
Barwami tęczy w oczach mych świeci!
O luby, drogi! ziemia wraz z nami,
Gdzieś w promieniste otchłanie leci!

. . . .

Och! jakżeś piękny! Czyż ludzką mową,
Moc twojej krasy wyśpiewać można?
Pod twemi stopy ziemia drży trwożna,
Jako pod jazdą Faraonową!
Jak cedr na piersiach Libanu wzrosły,
Tyś taki dumny! taki wyniosły!
Jakoby słońce błyszczą twe oczy,
Płomieńmi ognia wrą ich spojrzenia,
Jako woń mirry, wonne twe tchnienia,
Jak śnieg, skroń twoja białością mroczy!
Dłoń twoja parzy, jakby zarzewiem...
Och, przestań drogi!...
Panie!... ja nie wiem,
Przecz żeś ukochał mnie opaloną
Słońcem Judei, marzącą, senną,
Miłością taką nieogarnioną,
Olbrzymią taką, taką bezdenną!
Ale jam dumna z twego kochania!

. . . .

Ha! a tam głodne szakale wyją,
Aż tu wrzask siostrzyc mych mnie dogania,
Patrzcie mych oczu rzęsy nie skryją,
Patrzcie! me czoło jasne, pogodne,
Bo wielka miłość duszę mą zbroi,
Bo serce jego było mnie godne,
Bo on miłości godzien był mojej!

A. Maszewski.

MAGDALENA

POWIEŚĆ

Pani CARO.

Przełożona z francuzkiego na język polski

przez

P. LUDWIKĘ ROUHER.

(Dokończenie.)

IX.

Nazajutrz dowiedziałam się, że Robert czekał długo na mnie dnia poprzedniego, nie trwożąc się moją nieobecnością, jednakże, z nadejściem wieczoru, trwoga ogarnęła go i przekonany, że zabłąkałam się wyszedł, w celu odszukania mnie. Kilka razy wracał do hotelu i nieznajdując mnie, wychodził znowu, coraz więcej niespokojny. Wysłał także kilku ludzi w rozmaite strony. Nie było go w hotelu kiedy przyniesiono mój list a za powrotem, nikt nie mógł uwiadomić go o osobie, która przyniosła takowy. Zaledwie przeczytał list wybiegł jak szalony i tułał się całą noc po ulicach miasta. Rano rozpoczął usilne poszukiwania, otrzymał nawet pozwolenie zgruntowania kanału i rzeki aż do pewnej odległości. Przez cały czas, który jeszcze przepędził w mieście, to jest przez cały tydzień, miałam regularnie wiadomości o nim dzięki przełożonej, która przez litość nade mną kazała śledzić go tajemnie. Nakoniec, straciwszy nadzieję odszukania i przekonany, bezwątpienia, że odebrałam sobie życie, Robert zdecydował się odjechać.

Prosiłam kapelana zakładu, aby napisał potajemnie do plebana z Ville Verny i w ten sposób dowiedziałam się, że Ludwika mieszkała na wsi wraz z ojcem bardzo samotnie, nie widując nawet najbliższych sąsiadów, tylko kilku starych przyjaciół przyjmowanych od czasu do czasu. Zresztą Ludwika była bardzo cierpiącą i nie opuszczała domu.

W czasie naszej ucieczki objawiły się pierwsze symptomy poważnego stanu, którego do tej pory nikt nawet ona sama, nie domyślała się. Można łatwo wystawić sobie jakim strasznym ciosem była dla czułej jej duszy okrutna nasza zdrada i to właśnie w chwili, kiedy podwójne życie w niej się obudziło. Nikła widocznie i wszyscy obawiali się smutnych z tego następstw. Jakkolwiek bolesne były te wiadomości, jednakże uspokoiły mnie nieco, Ludwika żyła...

Pleban dodał, że zapewniono go, że Robert Wall był w Paryżu, ale nie wiedział nic więcej o nim.

Długie miesiące upłynęły podczas których przyzwyczaiłam się cokolwiek do nowego mego życia. Czułam się zupełnie osamotnioną, świętość zakonnic onieśmielała mnie a poszanowanie oddalało od nich.

Przeciwnie zaś kobiety, które mnie otaczały, moje towarzyszki, obudzały we mnie, niezwyciężony wstręt. Pospolite te twarze były obrzydliwe.

W początku chciały przyciągnąć mnie i wywołać zaufanie opowiadając swoje nieszczęścia, ale znudziło ich uporczywe moje milczenie i zniechę-

cone, uciekały ode mnie. Żadna wieść ze świata nie dochodziła do mnie, zdawało mi się, że byłam w tem miejscu pokuty, gdzie wszystkie ludzkie sprawy kończą się, a winne dusze oczekują na godzinę przebaczenia.

Nauczyłam się pracować. Od rana, nachylona nad krośnami do haftu lub też zajęta szyciem prostej roboty, zabijałam myśli materyalnem zajęciem ale noce były dla mnie nieznośne.

Ta wspólność życia z istotami może mniej winnemi jak ja, ale będącemi w większym upadku moralnym, była prawdziwą torturą. Kobiety te dzieliły się na rozmaite klasy, najmłodsze zamknięte tylko przez ostrożność były starannie strzeżone od zetknięcia z innemi.

Była tam także osobna klasa dla kobiet rzeczywiście żałujących, które przez długie lata dając drugim dobry przykład, nie pragnęły opuścić zakładu. Ja byłam pomiędzy niedawno przybyłemi, które drgając jeszcze pod wpływem słabości zwyciężonej namiętności, żałowały po większej części, straconej swobody.

Patrząc na nie i słuchając ich rozmów, straszny wstręt opanował mnie, ale musiałam zostać pomiędzy niemi, towarzystwo to było dla mnie zbawiennem. Ah! gdyby wiedziano do czego dochodzą w niższych warstwach społecznych namiętności, które tak często idealizujemy!

Powoli jednakże, skłoniłam głowę i zaczęłam modlić się. Pewnego rana, odebrałam list od plebana z Ville Verny:

„Wyroki Boskie są niedocieczone—pisał mi. — Częstokroć wytryska światło z ciemności i pociecha z samego źródła naszych łez. Kuzynka twoja została matką dając życie synowi. Aż do ostatniej chwili, obawiano się, że nie dożyje tej chwili, ale Bóg uczynił jej tę łaskę. Przejście było straszne, wezwano mnie, ojciec był przy niej blady jak marmur. Nigdy nie zapomnę wyrazu tej twarzy, patrzył na córkę suchem okiem i śledził na jej obliczu postępy śmiertelnego cierpienia. Modliłem się w głowach łóżka, w sąsiednim pokoju dawało się słyszeć słabe kwilenie nowonarodzonego i głosy szepczących kobiet.

W pokoju chorej, panowało przeciwnie ponure milczenie. Nagle Ludwika podniosła się i wlepiając w nas wymowne spojrzenie:

— Gdzie jest mój mąż—zapytała z niezwykłą siłą. — Chcę widzieć mojego męża.

Ojciec, nie odpowiadając spojrzał na mnie wzrokiem przerażonym.

Mieliśmy jedną i tę samą myśl, że słowa młodej kobiety oznaczały początek maligny, ale ona podnosząc się, mówiła głosem stanowczym:

— Chcę widzieć go i oddać mu sama naszego syna.

Potem szukając pod poduszką wyjęła pugilares z którym nie rozłączała się nigdy i wydobywszy papier starannie złożony, podała mi go. Był to adres pana Wall i do dziś dnia, nie wiem jeszcze w jaki sposób otrzymała go.

— Proszę księdza plebana jechać natychmiast— mówiła — i powiedzieć mojemu mężowi, że chcę go widzieć. On przyjdzie jestem pewną, znam Roberta, ale trzeba spieszyć się. Nie ma czasu do stracenia.

Skończywszy mówić upadła na poduszki. Zapytywałem ojca wzrokiem co zrobić? Wahał się jakby pod wpływem gwałtownej wewnętrznej walki. Nakoniec dał mi znak i pojechałem. Była już noc zupełna, kiedy przybyłem do Paryża i pobiegłem do mieszkania pana Wall.

Lękałem się czy go zastanę i czy zechce mnie przyjąć, ale wprowadzono mnie natychmiast. Wydało mi się, że pan Wall zestarzał się, chociaż wyraz twarzy został takiż sam jak dawniej. Nie wiem czy poznał mnie, ale nie zdradził żadnego wzruszenia, podniósł się i stał przedemną nie mówiąc nic i czekając na wytłomaczenie moich odwiedzin. Miałem zamiar przygotować go powoli do smutnej wiadomości, której byłem zwiastunem, ale niecierpliwa i dumna jego postawa, zmieniła moje zdanie.

Kiedy powiedziałem mu, że żona była umierającą i żądała go widzieć, nagła bladość okryła jego twarz a usta zadrżały nerwowo, a kiedy dowiedział się, że był ojcem, ukrył głowę w rękach:

— Syn! ja mam syna! — zawołał, a potem dodał czułym głosem: — Biedna żona, biedna Ludwika!

Nagle podniósł głowę — jedźmy księżę plebanie — rzekł — jedźmy natychmiast!

I nie mówiąc nic do nikogo, nie tracąc chwili, szedł przede mną.

Podczas podróży wypytywał ciągle o żonę i dziecko, gwałtowna gorączka paliła go. Ciągle wychylał się przez okno powozu i zanurzał w ciemnościach nocy niespokojne spojrzenie.

Potem siadał znowu z westchnieniem w którem zlewały się wszystkie cierpienia duszy.

— Czy sądzisz pan, że przyjadę na czas? — pytał. — Czyż mogłaby przypuścić, że odmówiłbym zobaczenia się z nią w podobnej chwili?

— Czeka na pana — odpowiedziałem.

Druga godzina po północy biła na zegarze kościoła, kiedy przyjechaliśmy do pałacu. Przed wejściem zatrzymał mnie.

— Czy sądzisz pan, że ona wie... że uwiadomiono ją... o wszystkiem...

Wahał się i nie mógł skończyć, zrozumiałem jego myśli.

— Sądzę, że wie o wszystkiem — odrzekłem.— W ostatnich czasach płakała długo i często, nie chcąc wytłomaczyć powodu swoich łez. Bezwątpienia wiadomość o fatalnej śmierci tej nieszczęśliwej, znana już w całej naszej okolicy doszła i do niej.

Pobladł i opuszczając moje ramię wszedł szybko na taras, gdzie zatrzymał się, oparł i został z nachyloną głową, jakby szukając na poblizkiej ławce jakiegoś znanego śladu, jakiegoś dawnego znaku, który ciemność zakrywała przed jego oczyma. Zawołałem na niego, potarł czoło po kilka razy jakby chciał oddalić wspomnienie, które zatrzymało go na progu tego domu, potem wlepił oczy w słabo oświetlone okno na pierwszem piętrze. Przybliżył się powoli i weszliśmy.

Nie było żadnej odmiany w stanie chorej od mego odjazdu. Zdawało się, że śpi. Ojciec siedział obok niej, nieruchomy jak posąg, nie spojrzał na nas

Dosyć długo można było słyszeć tylko cięższy nasz oddech. Nikt nie śmiał mówić ani poruszyć się, nakoniec, pani Wall otworzyła oczy i widząc męża nachylonego nad nią, wlepiła w niego oczy, jakby obawiała się być pod wpływem sennego marzenia. Potem lekki rumieniec okrył jej twarz, podniosła się i wyciągając doń rękę, rzekła z czuciem:

— Biedny Robercie!

Robert pochwycił małą tę rączkę i padając na kolana, płakał jak dziecko. Wtedy ona kazała sobie przynieść syna i zawoławszy wuja: ojcze, rzekła, nadeszła godzina przebaczenia. Ja tylko jestem winną, bo nie umiałam obudzić prawdziwej miłości, ale mam nadzieję, że mój syn będzie szczęśliwszy.

I zwracając się do męża zapytała:

— Robercie, czy nie widzisz ojca?

Obydwaj zrozumieli i spojrzawszy na siebie po raz pierwszy zamienili ukłon.

W kilka chwil później, gwałtowna maligna wywiązała się. Zdawało nam się, że rozpoczyna się konanie a jednak wątła ta istota walczyła ze śmiercią. Nietylko dnie i noce, ale tygodnie całe spędzaliśmy w obawie.

Ojciec i mąż nie opuszczali ją ani na chwilę. Po długiem niebezpieczeństwie zdrowie wróciło a wraz z niem nadzieja i ufność.

Odjeżdżają wszyscy razem do Ameryki w przyszłym tygodniu, pisał dalej proboszcz. Przyjdzie zatem do skutku ta podróż, dawne marzenie Roberta, ale ta, która miała mu towarzyszyć wówczas, pozostanie sama jak zapomniany cień przeszłości.

Spojrzałam na datę tego listu, już od dwóch tygodni byli na morzu.

Marzec 18...

Dziewięć lat upłynęło, dziewięć lat podobnych do siebie, w których ani jeden dzień nie różnił się od drugiego.

Żyłam życiem moich towarzyszek, spełniając tak jak one w ustalonym porządku i zwykłych godzinach, jednostajne nasze prace i modlitwy.

Dziś jednakże żyję osobno. Nagłe i długie omdlenia stały się przyczyną niepokoju, otaczających mnie osób i skutkiem tego usunięto mnie ze wspólnej sali. Mam celę w której żyję sama. Jest to łaska o którą nie prosiłam, ale uważam ją jako wielkie szczęście. Użyłam tego czasu na zebranie moich wspomnień i napisanie tej długiej spowiedzi! Może będzie to dla innych pożyteczną nauką, może opowiadanie mojej boleści wyżebrze dla mnie jałmużnę modlitwy. Łatwo przebaczyć umarłym a kiedy czytać będę te słowa, ta która je pisze, zniknie już od dawna z tego świata.

Wiele mnie kosztowało poruszyć zastygłe te popioły a jednak zrobiłam to, nic nie ukrywając. Zadanie moje skończone.

Jest pewien stan duszy na którym czas nie wywiera żadnego wpływu, nic nie przynosi i nic nie zabiera. Gdybym żyła nawet jeszcze dwadzieścia lat, nie dodałabym już ani nowego uczucia ani wypadku godnego uwagi do tego co nakreśliłam. Nic już nie pragnę teraz, nic nawet śmierci.

8 Maja.

Sądziłam, że wszystko było skończone, omyliłam się, niespodziewana wiadomość wyrwała mnie z nawpół martwego już stanu. Oni wracają! Ludwika pisze do Ville Verny, aby oznajmić bliz-

kie przybycie. Są szczęśliwi sama to utrzymuje.

Dlaczego jestem tak wzruszoną? Wystawiałam sobie, że moje serce zamarło, a jednak czuję jak bije gwałtownie na myśl że przybliżają się.

Ludwika donosi o swoim ojcu, który podstarzał się i z czułością o dzieciach, których mają troje obecnie.

Duszno mi w tej celi. Chciałabym chodzić, biegać... nadaremne usiłowanie. Padam znowu na krzesło, ostatnie moje siły są wyczerpane.

Przez otwarte okno, widzę kilka zakonic przechadzających się w alejach ogrodu. Twarze ich są spokojne, śmieją się, nawet najstarsze, śmiechem wesołym i młodym. Jakaż to piękna rzecz serce czyste i życie niewinne!

W blizkości mnie, inne szmery uderzają moje uszy. Słyszę szelest robotniczych narzędzi oraz krzykliwe i łające głosy. Są to kobiety domu poprawy, które pracują. To obecnie cała moja rodzina! sprawiedliwy Boże!

10 Maja.

Nie, nigdy już nie wyjdę z tej celi, nie mogę nawet zawlec się do kaplicy.

Horyzont mój ścieśnia się, znajdowałam go tak ograniczonym wówczas kiedy mogłam wychodzić jeszcze po za granice mego schronienia, teraz cztery mury mej celi i mały widok na drzewa ogrodu oto co mi pozostało z olbrzymiego świata.

Nie zdaje mi się, aby istota ludzka mogła zajmować mniej miejsca a jednak ścieśni się ono jeszcze więcej, przestrzeń zmniejszać się będzie coraz bardziej, aż wreszcie dojdzie do cmentarnej mogiły.

Wówczas będę w ostatniem mieszkaniu, kilka razy, w ciemnościach moich bezsennych nocy, zdawało mi się, że czuje skupianie się murów, które tuliły mnie w zimne objęcia.

Ostatnia godzina już się zbliża. Niedawno stałam przy otwartem oknie, sama jak zawsze i goniłam w jasnych głębokościach nieba, jakieś fantastyczne widzenia, które porwały mnie daleko od ziemi. Spuściwszy oczy na szyby okna, spostrzegłam, odbijającą się jak w zwierciadle twarz, która mnie przestraszyła.

Oczy w niej były zwiększone nienaturalnie, miała surowy i bolesny wyraz ust, schudzone oblicze którego owal mieszał się z białem welonem na głowie... Gdzie widziałam dawniej tę postać? Była ubraną jak pokutujące kobiety, jak się to stało, że nie widziałam jej w mojem schronieniu.

Zaciekawiona nagłym ruchem, odwróciłam się. Blade widmo zrobiło ten sam ruch... nie mogłam wstrzymać bolesnego uśmiechu.

— Wszak to ty Magdaleno — szepnęłam sama do siebie. — Cóż się to stało z twoją młodością i wdziękiem, nieszczęśliwa istoto?

Twarzy tej zapomnianej od dziesięciu lat przyglądałam się znowu. Nie wydała mi się należéć już do żyjącej istoty, nikt na świecie nie mógłby poznać teraz, że to ja jestem dawna Magdalena. Wszak mówiłam, że czas ucieka nic nie unosząc! Przeciwnie wszystko unosi, oprócz cierpienia.

12 Maja.

A gdybym pojechała czekać ich przybycia w Hawrze! Jestem wolną, żaden ślub nie zatrzymuje mnie, ukryłabym się w tłumie, aby ich zobaczyć po raz ostatni.

Nie domyślą się mojej obecności a nawet gdyby znaleźli się obok mnie, jakież wspomnienie może obudzić w nich to zdruzgotane cierpieniem oblicze?

Nie zadrżeliby nawet potrącając mnie w tłumie. Widzę ich przed oczami mej duszy. Mój wuj nieco zgarbiony i osiwiały, Ludwika zawsze piękna, więcej rozwinięta, jak są zwykle kobiety w drugiej młodości a obok niej troje cudownych dzieci z anielskiemi główkami!

A on?... Nie... nie pojadę! kiedy oni staną na na rodzinnej ziemi, ja dopłynę do innego brzegu.

13 Maja.

Już nie powstaję z łóżka, nie zostawiają mnie już samej, jest zawsze zakonica modląca się obok mnie.

Kapelan był dziś rano, wróci wieczorem, aby odmówić ostatnie modlitwy, prosiłam sama o to.

Myśl jedna prześladuje mnie i nie mogę jej odpalić. Chciałabym wiedzieć, czy rzeczywiście Robert kochał mnie, czy mnie kochał, niestety tak, jak ja go kochałam, ale i cóż ztąd?...

Wszystko już skończone. Śpij spokojnie biedna Magdaleno.

KONIEC.

Korespondencya z Pragi Czeskiej.

Uroczyste otwarcie Teatru Narodowego w Pradze. (*)

Praga, 21 listopada 1883 r.

W początkach czwartego dziesiątka b. w. stał się wspaniały, podziwu godny fakt odrodzenia czeskiego. Poczęła bujnie rozwijać się literatura, przedstawienia teatralne oraz teatrzyki amatorskie na prowincyi.

Wtedy to powzięto myśl wzniesienia własnego teatru narodowego. Zamiar ten był nader śmiały, ponieważ chętni mu, byli to po większej części ludzie biedni, bogatsze zaś mieszczaństwo i szlachta były zniemczone.

Pomimo tego, postanowiono powołać lud cały do zbierania na ten cel składek, odezwą dnia 14 kwietnia 1851 r. wydaną. Składki zaraz popłynęły obficie, urządzano bale, zabawy, *Narodni besedy*, co przynosiło teatrowi znaczne sumy, a zarazem wpływało na ożywienie życia towarzyskiego. Wkrótce zebrano już tyle pieniędzy, że dnia 13 września 1852 roku zakupiono, w najpiękniejszej dzielnicy miasta, nad samym brzegiem Wełtawy, za cenę 47,615 złr., plac pod budowę, aby zaś pieniądze nie leżały bezprocentowo, na części zakupionego gruntu wybudowano 1862 roku teatrzyk prowizoryczny. Ten ostatni zaraz od początku miał wielkie powodzenie tak dalece, że wkrótce okazał się za ciasnym i wszyscy tem bardziej zapragnęli odpowiednio wielkiego i wspaniałego gmachu. Składki też, z wyjątkiem pewnych chwil, gdy swary polityczne oraz wielkie klęski, powodzie, powstrzymywały bieg ich regularny, płynęły nader hojnie i dnia 15 maja 1868 roku, przystąpiono już do założenia kamienia węgielnego a w roku 1881 zbliżała się cała budowa już ku końcowi. Dnia 25 maja tego roku, na uczczenie przyjazdu arcyksięcia Rudolfa i jego małżonki, otworzono prowizorycznie Teatr Narodowy przedstawieniem opery Smetany: „Libusza". Potem grano jeszcze jedenaście razy, następnie gmach zamknięto i roboty prowadziły się w dalszym ciągu. Dnia 11 września miał być teatr otwarty ostatecznie, gdy naraz straszny cios padł na nieszczęśliwy naród czeski. Dnia 12 sierpnia Teatr Narodowy spalił się do szczętu, tak, że tylko nagie mury zostały. Zdawało się, że to powinnoby przygnieść Czechów, odebrać im energią i pogrążyć w rozpaczliwej apatyi. Stało się przeciwnie. Przeciwność losu była jakby ostrogą, pobudzającą ten nieszczęśliwy a tak dzielny naród do tem większych wysiłków. Rzucono sobie hasło, że „Teatr Narodowy musi być odbudowany, i w przeciągu sześciu tygodni do 28 września zebrano *okrągły milion* złr.

Przy takich okolicznościach budowa oczywiście mogła postępować szybko. Odbudowania podjął się prof. Schulz i wziął się do tego ze znajomością rzeczy i zapałem prawdziwego patryoty. Porobiono wiele ulepszeń: poprawiono konstrukcyą nieco wadliwą sali widzów, na scenie zaprowadzono całe urządzenie żelazne, zamiast gazu elektryczne oświetlenie, słowem, zrobiono wszystko, aby Teatr Narodowy stał na wysokości najnowszych wymagań techniki teatralnej. Cała budowa przed pożarem kosztowała 1,800,000 złr., po pożarze 1,300,000, razem 3,100,000 złr., z tego przeszło 2,000,000 zebrane zo składek ludu prostego. Z powodu rozmaitych, robionych ciągle prób i ulepszeń, otwarcie Teatru Narodowego opóźniło się nieco, początkowo miało nastąpić dnia 28 września, w uroczysty dla Czechów dzień św. Wacława, potem 15-go października, aż wraszcie ostatecznie otwarto go 18-go listopada i dzisiaj dumnie przegląda się w falach Wełtawy ta świątynia sztuki dramatycznej czeskiej i słowiańskiej, ten wspaniały pomnik ofiarności i solidarności ludu czeskiego. Przyjrzyjmyż mu się bliżej.

Zbudowany w stylu klasycznego renesansu, robi Teatr Narodowy harmonią swych części, ukoronowanych potężnym kopułowatym dachem, wrażenie wspaniałe. Główne piętro budowy ozdobione jest ze wszystkich stron potężnemi kolumnami korynckiemi, unoszącemi wspaniały gzemz główny z balustradą. Front zdobi portyk o pięciu arkadach z napowietrzną *loggią*. Strop portyku ozdobiony rozetami i emblematami rzeźnioł, użytych przy budowie. Loggia nad portykiem jest to otwarta sala, kryta pięcioma kopułami. Potężny architraw spoczywa na silnych korynckich filarach. Na siedmiu polach głównego fryzu widzimy płaskorzeźby wyobrażające: operę ludową i romantyczną, muzykę i taniec z epoki odrodzenia, tragedyę i komedyę grecką, bachiczny początek dramatu, dramat rzymski, dramat kościelny i współczesny. Sklepienia logii ozdobione są freskami Tulki, wyobrażającemi wpływ poezyi na życie narodu.

Nad loggią jest obszerny taras, otoczony balu-

(*) Jakkolwiek w artykule p. t. z Pragi czeskiej, podaliśmy już wiedomość o uroczystem otwarciu teatru narodowego, w korespondencyi tej jednak mieszczą się szczegóły nowe, i zupełnie nam nieznane a wielce interesujące.

Redakcya.

stradą, na której stoi dziesięć posągów rzeźbiarza Sznircha: Apollo Musagetes z dziewięcioma Muzami. Z tarasu przepyszny widok na Wełtawę, Wyszehrad, Smichov i Hradczany. Po obu stronach portyku, wejścia do trzeciej i czwartej galeryi, ozdobione wspaniałemi, iście bohaterskiemi posągami Zaboja i Lumira, postaci z bajecznej historyi Czech. Jest to dzieło rzeźbiarza Wagnera. Front od niezbyt szerokiej ulicy teatralnej uderza nas piękną galeryą łukową, wspartą na smukłych jońskich kolumnach. Od strony bulwaru widzimy podjazd o trzech arkadach z rampą dla powozów. Na tę stronę wychodzą okna królewskiego apartamentu, zawarte w pięciu poważnych łukach. Ozdobę tego frontu stanowią tarcze i emblemata korony czeskiej, bogato uwieńczone festonami. Ponad tym wspaniałym gmachem wznosi się imponujący, kopułowaty dach żelazny, zakończony złoconą balustradą, na końcach której strzelają w górę konduktory.

Cała główna budowa teatru wykonana jest z piaskowca.

Główny przedsionek, do którego wejście z portyku, cały wyłożony marmurem, sufit bogato złocony. Ztąd marmurowe schody wiodą do lóż i balkonów, a zwykłe kamienne do miejsc dalszych. Na pierwszym piętrze przez passaż, ozdobiony allegorycznemi obrazami Liebschera, przychodzimy do lóż i balkonów. Z tegoż passażu przez hebanowe, złocisto okute drzwi, wchodzimy do głównego foyer.

Jest to najobszerniejsza sala w całym teatrze, przepysznie ozdobiona allegorycznemi malaturami Yeniszka, Alesza i prof. Schulza. Ale najwspanialszą częścią teatru są królewskie apartamenta. Już same schody, ozdobione obrazami Hynaisa, czarujące robią wrażenie. Ztąd wchodzimy do przedsionka, w którym spostrzegamy obrazy z historyi Czech, oraz napisy: *Naród sobie!* Salon królewski przyozdobił obrazami swemi najznakomitszy malarz czeski Brozik, a w buduarze znów obrazy Hynaisa. Loża wybita ciemnoczerwonemi jedwabnemi tapetami. Z okien apartamentu przepyszny widok na Wełtawę.

Wyższe galerye mają także swój foyer, z wielkim smakiem urządzony.

Sala widzów na 1,800 osób, urządzona jest nader akustycznie, ma wiele powietrza i ze wszystkich miejsc pozwala równie dobrze widzieć i słyszeć.

Scena ma całe urządzenie, prócz podłogi, z żelaza. Wentylacya i wodociągi urządzone w sposób jak najpraktyczniejszy, a wszystkie przyrządy sceniczne według najnowszych wymagań techniki. W całym budynku zaprowadzono oświetlenie elektryczne według systemu Edisona, wszystkiego jest 2,500 lampek, światło nie miga i wogóle jest bardzo przyjemne.

Na wypadek pożaru, obszerne korytarze, foyer i tarasy usuwają wszelkie niebezpieczeństwo.

W pierwszym dniu uroczystości, dnia 18 listopada, obchód rozpoczął się zdaniem Teatru Narodowego towarzystwu i dyrekcyi teatrów. Zagaił posiedzenie dr. Rieger, zwróciwszy uwagę słuchaczy na wielki wpływ teatrów z wezwaniem członków jego do oddania się swemu zadaniu z całą pilnością i zapałem. Na to odpowiedział dyrektor teatru Szubert, obiecując w imieniu wszystkich przedstawicieli sztuki, gorliwe spółdziałanie dla powodzenia dzieła narodowego. W południe odbyła się *uroczysta akademia* (slawnostni akademie) dla członków towarzystwa i zaproszonych gości. Rzecz rozpoczęła się wspaniałą okolicznościową uwerturą Smetany, dzielnie odegraną przez orkiestrę pod dyrekcyą kapelmistrza Czecha. Następnie, artystka dramatu, p. Bittnerowa; sama głęboko wzruszona, wygłosiła cudny, pełen poetycznego polotu „Prolog” Jar. Vrchlickiego. Odegrana następnie uwertura hussyckiego, słynnego kompozytora Dvorzaka, wzbudziła powszechny zapał. Po krótkim antrakcie, towarzystwo śpiewackie „Hlahol” odśpiewało kantatę Bendla z następującemi słowami Adolfa Heyduka:

Jak młoda zorza, złotem przepasana
Wieść naszej sławy doczekała rana;
Na twarzy uśmiechy głowa na pierś spada,
Dziś poraz pierwszy wstępuje w swój gród
I na skroń ludu pocałunek składa;
Cześć chwała Panu! Błogosławion lud!

O rozbrzmij nasza pieśni święta,
Skrzydłami owiń czeską błoń,
Dziś wszystkie serca jedne wiążą pęta,
Jednako myśli każda skroń.

Gorąco modli się dziś cały kraj,
Modlą miłości, co łonem wezbranem
Wstrząsa i dzięków płynie oceanem
Tam gdzie spełnionych pragnień płonie raj!

W złocistych zorzach zapału, lud łzawo
Spogląda na ofiar swych kwiat,
Tu duchem kobiet, bohaterów sławą,
Swe prawa głosić chce na cały świat.

Aż czoło przed nim skłoni gniew i złość,
Jak sokół, co się w błękit wzbił przezroczy
I w źródle światła, topi ostre oczy,
A złotej doby boski wróci gość! (*)

Nakoniec, p. Jak. Seyfert, jeden z najulubieńszych artystów dramatycznych, wypowiedział z uczuciem i siłą „Epilog” Jarosława Vrchlickiego.

Przy ostatnich jego słowach podniosła się zasłona i ukazała się w żywym obrazie apoteoza pomysłu pana Kolara, głównego reżysera, geniusz ojczyzny otoczony muzami i przedstawicielami sztuki dramatycznej, wskazywał ręką gmach Teatru Narodowego, na którym gorzał złoty napis: *Naród sobie*. Wywołało to niesłychany zapał, który wyraził się w oklaskach i okrzykach bez końca.

Wieczorem odbyło się pierwsze uroczyste przedstawienie teatralne. Dawano „Libuszę” Smetany.

Teatr był pełniuteczki. Owacyjnie przyjęto starego, głuchego już Smetanę. Zakończyły operę żywe obrazy z historyi czeskiej, ułożone po mistrzowsku przez p. Kolara. Przedstawiały one: 1) Porwanie Iitki przez Brzetysława, 2) Zwycięztwo nad Tatarami, 3) Eliszka Przemysłowna, 4) Jan Żyżka na wozie wojennym, 6) Jerze Podiebradzki i 6) Apoteoza: Czech, Morawii i Szlązka. Zapał publiki nie miał granic. Po teatrze stowarzyszenie śpiewackie „Hlahol” urządziło w „Miesztiańskiej Besedzie” wielki bankiet dla słowiańskich gości.

Dzień drugi (19 listopada) rozpoczął się „Uroczystem walnem zebraniem komitetu budowy” w sali „Miesztiańskiej Besedy”, pod przewodnictwem d-ra Riegera. Przemawiali: dr. Rieger, dr. Róžiczka, dr. Trojan i prof. Pacold, podnosząc zasługi tych, którzy w jakibądź sposób przyczynili się do budowy Teatru Narodowego i zachęcając do dalszej równie wytrwałej i solidarnej pracy we wszystkich gałęziach, dr. Róžiczka zaś zdał obszerne sprawozdanie z czynności komitetu. Wieczorem z równą świetnością jak Libuszę dnia poprzedniego, wystawiono pierwszy raz graną tragedyę w pięciu aktach wierszem, Bohuslawa Adamka p. t. Salomena. Sztuka ta jest jedyną, którą uznano za godną ubiegać się o wielką nagrodę Komitetu słowiańskiego z roku 1868, w ilości tysiąca rubli. O przyznaniu autorowi nagrody miał zadecydować rezultat przedstawienia, zdanie krytyki i publiczności. I zdaje się, że ją dostanie u publiki bowiem stanowczo znalazł szczęście, a krytyka także wyraża się o jego dziele bardzo pochlebnie.

Na zakończenie odegrano powtórnie hussycką uwerturę Dvorzaka.

Trzeciego dnia (20 listopada) wystawiono wielką operę Dvorzaka Dymitr. Grano ją już poprzednio, lecz teraz porobiono wielkie zmiany w tekście i muzyce. Wystawa była świetna, w wielkim pochodzie w Kremlu było na scenie przeszło trzysta osób.

Nadal ma dyrekcya przygotowane do wystawienia rozmaite dzieła oryginalne czeskie i obce. O tych wam później doniosę w osobnej korespondencyi.

Zet-pe.

(*) Kantatę tę, przysłaną nam w języku czeskim, pomieszczamy w przekładzie Miriama.

Redakcya.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Sewer. Nauczycielka na wsi, napisał podług opowiadania lekarza. Lwów 1883 r.

Opowiadanie powyższe mimo, że Sewer, nie należy do rzędu pisarzy ludowych i napisał je dla innych czytelników, jednak przez komitet Lwowski wydawnictwa dzieł ludowych, z uwagi bardzo ponętnego tematu, nacechowanego tendencyą moralną, uznane zostało za zupełnie odpowiadające wymaganiom, jakim koniecznie musi zadosyć czynić dzieło napisane dla ludu.

„Nauczycielka na wsi” pisaną jest lekko, szkicowo i w wielu razach autor każe się niejednej rzeczy domyślać. Z tej też przyczyny nie odpowiada technice przystępnej dla ludu. Czytając te opowiadanie, każdy człowiek inteligentny znajdzie w niem powab pewien, nie nużący drobiazgowością, lecz lud nie nawykły do prawidłowego myślenia i nieumiejący jeszcze dopowiadać sobie tego co autor myślał a nie wypowiedział, nie umie zrozumieć, całości, bo nie rozumie jej części pojedyńczych.

Lud potrzebuje, aby dzieła dlań pisane były bez jakichkolwiek przenośni, bez myśli ukrytych, aby wszystko było jędrnie i zrozumiale wypowiedziane. Życie wieśniaka płynie wśród ciągłej walki o byt, walki ciężkiej a nieraz i namiętnej, wśród której różnorodne drobiazki zacieśniając mu życie sprawiają, iż każdy z tych drobiazgów wydaje mu się arcy ważnym faktem.

W powieści więc ludowej tych drobiazgów tych faktów i fakcików zaniedbywać nie należy, owszem trzeba je uwydatniać, nakładać barwami żywemi, aby naprzód występowały, bo to tylko przemawia

do mało rozwiniętego pojęcia. Tendencya opowiadania o którem mowa, wysoce zacna, ubrana jest w szatę zajmującą. Posłuchajmy więc jej:

Chcąc sobie zapewnić środki do egzystencyi przyzwoitej, Wanda, córka zamożnych niegdyś rodziców kształci się na nauczycielkę. Straciwszy rodziców pozostaje sama z młodszą siostrą i wśród wielu przeciwności losu, otrzymuje posadę nauczycielki wiejskiej, któremu to zawodowi oddaje się z całem zamiłowaniem. Kształci przytem i swą siostrę, która szyjąc na maszynie zarabia dziennie bardzo małą sumkę.

Nieszczęście chce jednak, że Zosia niebawem traci wzrok. Wanda pielęgnuje chorą i niewidomą, zaziębia się i zapada ciężko na zdrowiu. Lecz tu zjawia się opiekun sierot, młody i bogaty włościanin Józef, który w Zosię patrzy jak w obraz i sprowadza lekarza.

Po wyzdrowieniu Wandy lekarz zainteresował się stanem Zosi, przeprowadza operacyą i Zosia odzyskuje wzrok stracony. Tymczasem Zosia z Józefem kochali się i teraz gdy wzrok odzyskała nie odwraca się od wieśniaka, lecz podaje mu rękę do wspólnego małżeńskiego pożycia.

Młodzi byli szczęśliwi i życie szło im gładko, Wanda zaś, którą na razie źli ludzie obmawiać poczęli zjednała sobie szacunek i miłość u ludzi.

Oto treść cała, skromna i nader zwyczajna, lecz bogata w sceny do łez wzruszające.

Polak J. Dr. Wskazówki pielęgnowania dzieci w pierwszym roku życia. Warszawa 1883 r.

Prof. d'Espine, z udziałem komisyi lekarskiej w Genewie, w tym czasie wydał powyższą broszurkę, która wszystkim matkom przy spisaniu aktu urodzin dziecka, bezpłatnie jest rozdawaną. Celem tej książeczki jest: „zmniejszenie śmiertelności noworodków".

Dr. Polak, powyższą broszurkę przełożył na język polski, którą jako obejmującą treściwie i przystępnie wyłożone zasady wychowania noworodków, polecamy ludziom dobrej woli, aby z całą usilnością rozszerzali ją pomiędzy ludem wiejskim.

Smiles Samuel Syn. Podróż około świata młodego Smilesa, wydał Samuel Smiles ojciec, przekład wolny z angielskiego E. H. Warszawa 1883 r.

Z polecenia lekarzy, młody Smiles syn słynnego autora „Samopomocy" był zmuszony odbyć dwuletnią morską podróż.

Szesnastoletni młodzieniec 1869 r. w lutym, puścił się do Australii, i w Majorce zabawiwszy przez ciąg ośmnastu miesięcy, przez Ocean Spokojny, San Francesco i New York powrócił do Europy. Dziełko będące przed nami, będące nie jako dziennikiem młodego podróżnika, zawiera w sobie „nie mało uwag natchnionych doświadczeniem życia, przy nowych zupełnie poglądach."

Podróż około świata młodego Smilesa jako napisana przez 16 letniego młodzieniaszka budzić może i budzi zajęcie jedynie w czytelnikach mało wymagających i których potrzebom umysłowym taki opis podróży najzupełniej odpowiada.

Owych jednak „uwag natchnionych doświadczeniem życia" i nowych zupełnie poglądów" mimo najszczerszej chęci doszukać się nie byliśmy w możności. Mimo tego młodzież czytając Smilesa „Podróż około świata" pożyteczniej czas spędzi, niż na czytaniu wszelkich innych bajek i bezmyślnych powiastek, jakiemi półki księgarskie dość są zarzucone.

Dębicki Ludwik. Wspomnienia o Józefie Szujskim. Warszawa 1883 r.

Do licznych biografii i krytycznych rozbiorów życia i prac przedwcześnie zgasłego Józefa Szujskiego, jako jedną z najbardziej wyczerpujących zaliczyć należy prace p. Ludwika Dębickiego ucznia, przyjaciela i powiernika zmarłego, który pisząc „Wspomnienia" nie miał zamiaru bynajmniej pisać nekrologu lub wyczerpującego życiorysu, lecz rozbudzić kilka wspomnień osobistych z różnych epok życia, ażeby za ich pośrednictwem zrozumieć tę postać wyjątkową. Studyum p. Dębickiego oparte przeważnie na listach Józefa Szujskiego w czytelniku budzi wielkie zajęcie, tembardziej, że dowiadujemy się zeń wiele nieznanych nam dotąd szczegółów, rzucających światło na jego działalność polityczną, stosunki rodzinne i obywatelskie.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** „Obrazki Syberyi" w dwóch tomach napisane przez p. Ludwika Niemojowskiego, o których obszerniejszą i więcej szczegółową a pochlebną pomieściliśmy wiadomość w „Tygodniku", przetłomaczone zostały na język angielski i pod tytułem „Siberjan Pictures" wydane w Londynie przez firmę jedną z najpoważniejszych Hurst and Blackett. Tłomaczenia dokonał Major Szulczewski, z wiernem odwzorowaniem oryginału, a krytyka miejscowa pracę naszego ziomka przyjęła z wielką życzliwością i natychmiast po wyjściu dzieła, w kilkunastu pismach londyńskich peryodycznych, pokazały się obszerne sprawozdania tak dla autora jak tłomacza bardzo przychylne.

*** Jak zapewniają tutejsze dzienniki, już z wiosną r. p. ma być otwarta szkoła rzemieślnicza dla kobiet.

Zakres nauk będzie prawie ten sam co w szkole ogrodniczej męzkiej i wykładać będą ciż sami profesorowie co i w zakładzie naukowym przy ogrodzie pomologicznym.

*** Ziomek nasz, Kazimierz Stryjeński, profesor liceum w Wersalu, ma miewać w Paryżu odczyty o piśmiennictwie angielskiem. Znany jest publiczności francuzkiej jako autor cennych w tym przedmiocie studyów.

*** W „Saturday Reviev" zamieszczony jest nader pochwalny artykuł o Sienkiewiczu, w którym zapowiedziane jest, iż wkrótce wyjdzie z druku angielski przekład jego „Pamiętników nauczyciela" pod zmienionym tytułem: „Little Michael".

*** Krakowskie „Koło literacko-artystyczne" przyjęło na jednem z ostatnich posiedzeń statut mającego powstać „stowarzyszenia pomocy wdów i sierot po literatach i artystach" i podało takowy do zatwierdzenia namiestnictwu. Można pozazdrościć Krakowowi tak pożytecznej instytucyi.

*** Od kilku dni mury wszystkich prawie kamienic Paryża pokrywają ogłoszenia zawiadamiające, iż wkrótce zacznie wychodzić dzieło p. t. „Histoire publique et priveé du comte de Bismarck, par. Jules Fréval". Prospekta te ozdobione są wizerunkiem kanclerza państwa niemieckiego. Siedzi na koniu przeskakując niezliczoną liczbę trupów i trupich głów, a obok niego na czarnym parskającym ogniem rumaku, jedzie śmierć z kosą w ręku, w pruskim hełmie na głowie — za jeźdcem podąża tłum zamaskowanych szkieletów. Dzieło to ma wychodzić zeszytami, po 5 centymów jeden, każdy ozdobiony wyżej opisanym wizerunkiem „żelaznego księcia".

*** Dzienniki rosyjskie podają ciekawą korespondencyę z Bulgaryi z której dowiadujemy się, że znajdują się tam amazonki, nie ustępujące legendowym odwagą i energią. Amazonkami temi są wdowy Karłowskie; według zapewnień korespondenta, lud nienawidzący obecnego stanu rzeczy, w nich jedyną lepszej doli pokłada nadzieję. Oto historya tych amazonek.

W epoce strasznych przejść tego kraju, mianowicie w lipcu i w sierpniu 1877 r. Turcy zająwszy doliny Marycy i Tundży, wyrznęli całą męzką ludność tamtejszych sioł i miast, tak więc i w Karłowie zginęli wszyscy mężczyźni dojrzali, chłopcy i dzieci. Kiedy po skończonej wojnie ludność wracała do swych ognisk domowych, w Karłowie znalazły się same tylko kobiety — i odtąd jest to może jedyna miejscowość w świecie w której mężczyzn nie ma zupełnie — istne królestwo Amazonek. U Bulgarów nie jest przyjęte żenienie się z wdowami, a hańbą okryte przez wrogów dziewczęta tamtejsze, także mężów znaleźć nie mogą. Pozostawszy same bez pomocy do walki z życiem i niedostatkiem, dzielne te kobiety nie opuściły rąk, nie poddając się rozpaczy, zajęły się energicznie przemysłem i handlem.

Lecz gdy tylko zagraża im współzawodnictwo ze strony mężczyzn, wtedy ogarnione wojennym zapałem w obronie swego zagrożonego bytu, jak jeden mąż całym zastępem stają do walki. Niedawno temu jakiemuś Bulgarowi przyszła myśl założenia w pobliżu fabryki tkackiej, z obawy o utratę sposobu do życia, amazonki uzbroiwszy się napadły na fabrykę i wygnawszy z niej mężczyzn spaliły wraz z przygotowanemi materyałami. Inny znów jakiś przedsiebiercа zaczął sprowadzać z Austryi płótno i sukna, wdowy karłowickie wystąpiwszy zbrojnie niedozwoliły dostawić transportu do miejsca przeznaczenia, gdyż napadłszy na wozy towar zniszczyły. Posłano wojsko; żołnierze nie chcieli „się bić z babami" te jednak nie oceniając ich wspaniałomyślności, zmusiły ich do ucieczki. Obecnie żyją w spokoju i nietylko nikt im w drogę nie wchodzi, ale nawet Bulgarowie obiecują sobie, iż one jedne zdołają wpłynąć na zmianę obecnego stanu rzeczy.

*** Nowy sposób gaszenia nafty, podaje „Gazeta handlowa".

Od czasu ogólnego rozpowszechnienia nafty do oświetlenia, coraz częściej przytrafiają się wypadki poparzenia lub pożarów, wynikające z nieostrożnego z nią się obchodzenia. Obecnie wynaleziony został bardzo dobry sposób gaszenia zapalonej przez nieuwagę nafty. Trzeba mieć w domu butelkę napełnioną mieszaniną spirytusu i amoniaku i w razie zapalenia się nafty oblać płynem tym płomień, a wytworzona ztąd para w tej chwili zgasi ogień. Pomieniona właściwość amoniaku, może być zastosowaną w każdym innym wypadku, dlatego należałoby mieć w kuchniach butelkę takiej mieszaniny, aby w razie ognia o który w takich miejscach nie trudno, mieć pod ręką środki ratunku.

*** Przed kilku tygodniami dostała się na szczyt góry Mont Blanc, baronową Rolland, żona

deputowanego włoskiego, w towarzystwie dwóch przewodników i swego służącego. Jest to pierwsza Włoszka, która odważyła się na tak trudną i męczącą wycieczkę, po powrocie do Chamounix powitano ją strzałem armatnim, a ludność wyprawiła jej owacyę. W roku bieżącym poprzedziły ją dotarciem także na sam szczyt góry, Francuzka, pani Lapince, i Hiszpanka Anino.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Stokrotce. W wierszykach forma prawie bez zarzutu, ale we wszystkich przebija się jakieś dziwne szamotanie się duszy i serca z rzeczywistością. W tej plątaninie marzeń i pragnień, brak przewodniej myśli co krzepi, osładza życie, co mu daje hart i wytrwanie a przedewszystkiem brak tej niespożytej niczem tarczy, ukutej z wiary i nadziei odpychającej wszystko co wiedzie do zwątpienia i rozpaczy. Myśl ludzka wprawdzie bardzo lotna, wnika nieraz w tajemnice nieprzystępne dla rozumu ludzkiego, wpada w zwątpienie, gniewa się, sarka, ale ostatecznie wraca znowu do ziemi i gnąc się w pokorze poddaje prawom niczem się zmienić niedającym. Obraz tej wewnętrznej walki to wielce pożądane dla poezyi, ale koniecznie przynosić powinien uspokojenie i nie błąkać się jedynie przy trumience i mogile, które są ostatnią stacyą powłoki naszej materyalnej ale nie ducha, który ją ożywia.

Panu Rudolfowi Roż. w Mohylowie Podolskim. Żeglarz nie utonął w piasku mazowieckim, tylko w nieszczęśliwym maczku jakim został napisany, którego odcyfrować bez szkła powiększającego niepodobna. Wkrótce jednak wypłynie ze swego ukrycia, a uprzedzi go Diva z którą rozmówiliśmy się bez najmniejszego trudu. Za tę względność ślicznie dziękujemy.

Autorowi wierszyka Dziś i wczoraj. Rzecz opowiedziana z prostotą bardzo miłą i pożądaną, ale brak jej zakończenia odpowiedniego do całej osnowy.

Zawiadomienia.

Na Gwiazdkę i noworoczne podarunki dla uczącej się dziatwy, polecamy WIZERUNKI KRÓLÓW POLSKICH podług rysunków Tytusa Maleszewskiego, z krótkim tekstem w ozdobnej oprawie. Cena egzemplarza rs. 2 kop. 50. Za przysłaniem kwoty tej do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci ładną tę książeczkę wysyłamy bez żadnej dopłaty za pocztę i opakowanie.

Wyszedł z druku i jest do nabycia w księgarniach zeszyt I i II z edycyi drugiej dzieła p. t.

NAJLEPSZA METODA

do nauczenia się języka niemieckiego w 3 miesiącach bez nauczyciela przez **Pl. Reussnera.** Cena zeszytu I kop. 60, zeszytu II kop. 80.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, tudzież u autora przy ulicy Chmielnej Numer 6 w Warszawie.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.





Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Ноября 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 49, r. 1883.

KAIN.

Przez

Henryka Rivière.

Przekład z francuzkiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Dalszy ciąg.)

— Tu, rzekł Raul, pokazując mu jednę z tych szczelin które tworzą się w górach wskutek trzęsienia ziemi. Ta zdawała się nadzwyczaj głęboka; ściany miała proste najeżone ostremi wyskokami skał; miejscami wyrastały na nich krzewy i drzewka, których gałęzie mieszały się z sobą w środku szczeliny. Gdyby nie olbrzymie rozmiary, możnaby ją przyrównać do tej zabawki dla dzieci, w której kulka tocząca się z lekkiej pochyłości, potrąca długo o sterczące gwoździe zanim dojdzie do celu.

Raul patrzył w głąb przepaści, pochylony nad jej otworem.

— Chodź, nie traćmy czasu, rzekł Jerzy drżącym głosem, gdyż straszna myśl zrodziła się w jego głowie.

W tejże samej chwili usłyszeli jakiś szmer dochodzący od strony fortu, i zaczęli przysłuchiwać się z natężoną uwagą, ale szmer ucichł wkrótce.

— To nic, rzekł Raul, zwrócony teraz twarzą do fortu. Masz słuszność, wracajmy.

Lecz zapominając że stoi nad przepaścią, odwróciwszy się postąpił krok w tył i obsunął się w otchłań.

Jerzy widząc to, pochylił się naprzód z najeżonemi włosami, z rękami wyciągniętemi w powietrze. Zdawało mu się że szatan wykonał myśl która przed chwilą przesunęła się w jego umyśle. Prawie jednocześnie usłyszał głos wołający z przepaści:

— Jerzy! Jerzy!

— Co? odpowiedział bezmyślnie.

— Ah! odezwał się znów głos drżący a jednak radosny: ah! mogę jeszcze być ocalonym! Szczęściem spadłem na jakiś krzak i siedzę na nim jak na koniu, głębiej jak na dziesięć stóp. Zachowaj się spokojnie, cicho, aby cię nie usłyszano z fortu, i zejdź ostrożnie na drzewo rosnące poniżej miejsca na którem stoisz, a będąc już tam podasz mi rękę i dopomożesz także dostać się na nie.

Upłynęło kilka sekund zanim Jerzy zrozumiał znaczenie dochodzących go wyrazów, a zrozumiawszy nakoniec, nie poruszył się z miejsca, jakby przykuty do niego nieprzepartą siłą. Głowa jego była zwrócona ku przystani, a oczy patrzyły na fregatę.

— Jerzy! czy nie słyszysz mnie? Mówię że tu jestem! Śpiesz się bo krzew zaczyna się już uginać podemną. O! mój Boże! czuję że spadnę z nim razem! O! mój Boże! mój Boże!

Jerzy pochylił się nad przepaścią. Wielkie krople potu spływały mu z czoła. Zobaczył ciemną postać czepiającą się rozpaczliwie granitowej ściany.

— Ah! Jerzy, stoisz tam, i nie śpieszysz mi na pomoc! A! jestem zgubiony! na twarzy twojej, czytam myśli twoje. Mówisz sobie że gdy ja umrę, ty zostaniesz komendantem fregaty... O! mój Boże!.. Spadam... O! Boże mój!.. Boże!..

Zdawało się że ten rozpaczliwy krzyk potargał niewidzialne więzy zatrzymujące Jerzego, bo gwałtownym rzutem skoczył na drzewo wskazane mu przez Raula, i przytrzymując się na niem nogami, zwiesił się głową na dół, wyciągając ręce. Zapóźno! Krzew utrzymujący dotąd Raula oderwał się od ściany i spadł z nim razem. Jerzy słyszał jak ciało nieszczęśliwego odbijało się od drzew które spotykało po drodze, doszedł go odgłos jakby coś ciężkiego upadło na ziemię i nastąpiła grobowa cisza.

Podniósł się z trudnością w górę; wspiął się na drzewo i wyszedł na ścieżkę.

Stał na niej przez chwilę nieprzytomny, zdawało mu się że wszystko dokoła pokryło się żałobą, że ze wszystkich stron słyszy głosy wołające groźnie: Zabójca! Zabójca!

Ale nie. Na pogodnem niebie zaczynały już błyszczeć gwiazdy, nawet księżyc utracił blask krwisty i łagodnem światłem posrebrzał fale, a fregata pochylała się ku niemu tak zalotnie jakby go przywoływała do siebie.

Upadł na ten sam kamień na którym siedział pół godziny temu, i pozostał tam długo otrętwiały, jakby życie uchodziło z niego.

Zaczynało już świtać gdy wyszedł z osłupienia. Powstał nagle i zawołał:

— Ah! mój Boże! a fort! a fregata!

Potem zaczął biedz ścieżką wiodącą do morza, wołając niekiedy, jak Raul spadający w przepaść: Ah! mój Boże! mój Boże!

III.

Jednak Jerzy zwolnił kroku zbliżając się do miejsca w którem łódź swą zostawił, szybkość biegu i chłód nocy przywróciły mu przytomność. Zrozumiał że nie powinien wracać na pokład jak zabójca ścigany wyrzutami sumienia, wysiłkiem woli zmusił swe rysy do spokoju, i już ze zwykłym wyrazem twarzy wsiadł do łodzi. Potrafił nawet zapytać swych majtków, czy nie mają mu coś do powiedzenia o fregacie lub komendancie. Odpowiedzieli że nic nie wiedzą, i że niepokoili się czekając tak długo na niego. Gdy wszedł na pokład *Thétis*, oficerowie i cała służba statku powitali go z wyrazem najwyższej niespokojności. Zapytał czy komendant już wrócił, odpowiedziano mu że tylko odesłał swą łódź i że z tego wnoszono że wrócą razem.

— Nie widziałem go wcale, szepnął Jerzy.

Czuł że oczy wszystkich były zwrócone na niego, że nie okazywał ani dość wzruszenia ani zadziwienia, że od tej chwili ma postępować tą straszną drogą obłudy, na której za każdym krokiem spotykać będzie nowe niebezpieczeństwa i trudności — i wszedł na nią bez wachania. Przebiegał przez chwilę niepewnem spojrzeniem morze i góry, jakby się namyślał co ma czynić, a potem rzekł:

— Słońce już wschodzi a poszukiwanie komendanta byłoby bezużytecznym... został zapewnie zabitym.. Pozostaje nam tylko pomścić go lub wyzwolić! Przypuścimy niezwłocznie szturm do fortu.

Żołnierze i majtkowie odpowiedzieli mu jednozgodnem „wiwat", i każdy pośpieszył zająć swe stanowisko. Ci poczciwi ludzie kochali Raula, a Jerzy widząc na ich twarzach wyraz szczerego smutku a zarazem prawdziwie męzkiej energii, był pewnym że z ich pomocą odniesie zwycięztwo, jakkolwiek niepodbna mu już było korzystać z planu Raula i przypuścić atak z dwóch stron jednocześnie. W godzinę później fregata ukazała się naprzeciwko fortu, zwinęła żagle, zarzuciła kotwicę, i nie zwlekając ani chwili dała ognia z dział. Gubernator fortu uwiadomiony już przez straże o zbliżaniu się nieprzyjaciela, odpowiedział natychmiast strzałami na jego strzały. Po tej półgodzinnej walce altyleryi, która w innych okolicznościach byłaby nierówną, jako prowadzona wśród ścian z drzewa i ścian z kamienia, zwycięztwo przechyliło się na stronę pływającej cytadeli. Zrobiono wyłom w murach fortu. Gdy Jerzy uznał że jest dość szerokim, postanowił szturm przypuścić; wsiadł wraz z żołnierzami marynarki do szalup uzbrojonych i kazał płynąć śpiesznie do fortu. Stanął sam na przodzie swej szalupy, na twarzy jego błyszczała jakaś dzika radość, bo zapał bitwy tłumił wyrzuty sumienia, a czuł że dosięga upragnionego celu. Pierwszy wyskoczył na ziemię, i uderzając na lewo i na prawo swą długą szpadą, torował krwawą drogę którą pędzili za nim żołnierze. Anglicy nie mogąc wytrzymać uderzenia, cofnęli się w nieładzie za drugi mur, i wywiesili białą chorągiew. Jerzy zaraz za pierwszym rzutem oka spostrzegł że drugi mur był więcej jeszcze uszkodzony od pierwszego, i nie zdołałby długo zasłaniać swych obrońców, ale postanowił zgodzić się na kapitulacyę nieuniknioną dla Anglików, aby oszczędzić życie własnych ludzi. Dlatego kazał powstrzymać dalsze kroki, oczekując parlamentarza który też ukazał się wkrótce.

— Przedewszystkiem, powiedz mi pan, czy dzisiejszej nocy oficer francuzki został przez was zabitym lub uwięzionym, zapytał Jerzy nadchodzącego.

— Nie widzieliśmy nikogo, odpowiedział parlamentarz.

Jerzy przywołał jednego z podoficerów.

— Niech pan weźmie z sobą pięćdziesięciu ludzi, przebiegniecie góry począwszy od fortu aż do morza, poszukując komendanta Raula.

W parę minut później, podoficer wraz z pięćdziesięciu ludźmi udali się w góry.

— Teraz, panie, odezwał się zimno Jerzy do parlamentarza, oto moje warunki: Cały garnizon się podda, gubernator odda mi szpadę a żołnierze złożą broń. Nie mogę uczynić dla was nic więcej nad to że nie będziecie wojennymi więźniami. Pozwolę wam wsiąść na dwa amerykańskie statki, stojące tu w pobliżu fortu, i dam list bezpieczeństwa dozwalający udać się do najbliższej angielskiej kolonii. Zechciej pan oznajmić gubernatorowi że daję mu dziesięć minut do namysłu.

Jerzy dlatego jedynie okazał się tak łaskawym, że w razie spotkania z nieprzyjacielskim statkiem, obecność pięciuset więźniów na fregacie, mogłaby okazać się dla niej niebezpieczną.

Po dziesięciu minutach przyjęto podane przez niego warunki. Przyniesiono z fortu wielki stół, na którym Jerzy i gubernator spisali na dwie ręce i podpisali akt kapitulacyi. Poczem zaraz gubernator oddał swą szpadę komendantowi fregaty *Thétis*, a żołnierze angielscy przechodząc każdy osobno przed szeregiem francuzkich marynarzy, składali

broń w oznaczonem im miejscu, i stawali naprzeciwko swych zwycięzców. Jerzy patrzył na to trzymając w lewej ręce szpadę gubernatora, a w prawej swoją wyjętą z pochwy i upajał się swym tryumfem.

W chwili gdy ostatni żołnierz angielski składał broń, na drodze do fortu ukazał się oddział wysłany przez Jerzego w góry. Marynarze szli razem, z odkrytemi głowami. Czterech z nich niosło nosze związane z gałęzi, obok których szedł oficer.

Jerzy przycisnął rękę do serca, lecz nie poruszył się z miejsca.

Nadeszli wkrótce, i postawili nosze na stole. Kilku marynarzy zdjęło koszule i okryło niemi zwłoki.

— Przynosimy, rzekł podporucznik zwracając się do Jerzego, zwłoki komendanta Raula które znaleźliśmy w głębokiej przepaści.

Jerzy pochwycił koszule drżącemi rękami, zawahał się, potem je odrzucił, a jednocześnie odskoczył zdjęty strachem, gdy przeciwnie Anglicy i Francuzi przysuwali się o ile mogli, chcąc widzieć lepiej.

Ciało Raula było okropnie pokaleczone, ubranie zbroczone krwią, ale dziwnym jakimś trafem na głowie nie było żadnej rany. Długie, ciemne i lekko wijące się włosy odrzucone w tył, odsłaniały czoło na którem wśród zmarszczonych brwi, zarysowała się prosta i głęboka zmarszczka. Nozdrza były rozdęte pod wpływem gniewu czy też przestrachu. Na ustach, trochę uchylonych pomimo zaciśniętych zębów, zesztywniał uśmiech rozpaczy i sarkazmu. Cała prawa strona twarzy, skręcona zapewnie w konwulsyach konania, była ściągniętą ku lewej. Oczy miał na pół otwarte, i zdawało się Jerzemu że zwraca ku niemu swe szkliste i martwe spojrzenie.

— Czy on z pewnością już nie żyje? wybąkał zwracając się do doktora.

— Tak, niestety! komendancie, niepodobna nawet wątpić o tem, odpowiedział doktór.

Zwracając się do oficerów, rzekł półgłosem;

— Biedny komendant, boleść pozbawia go prawie przytomności umysłu. Odejdź ztąd, komendancie, dodał prawie natychmiast. To zbyt bolesny widok dla ciebie.

Jerzy posłuszny jak dziecko, cofnął się gdy wynoszono ciało.

— Komendancie, odezwał się znów doktór, sądzę że przewieziemy ciało do Gwaldelupy?

— Ma się rozumiéć, odpowiedział Jerzy blednąc bardziej jeszcze.

— Zapytałem się o to, gdyż w takim razie trzeba przedsięwziąć niezbędne środki.

Gdyby ta okropna scena trwała dłużej, Jerzy nie potrafiłby ukryć swego pomieszania. Szczęściem dla niego, przez resztę dnia rozliczne i ważne zajęcia odsuwały od niego dręczące go myśli. Był obecnym przy oddalaniu się Anglików, zawezwał władze hiszpańskie na wyspie aby jak najśpieszniej przysłały swą załogę do fortu, i sam czuwał nad przewiezieniem swych rannych na fregatę. Dopiero koło wieczora, gdy *Thétis* rozwinęła znów żagle, Jerzy pozostał sam ze swemi myślami. Wszedł z pewną obawą do swego mieszkania, do mieszkania komendanta, którego on teraz stawał się już czwartym posiadaczem wciągu kilku dni. Oczekując na obiad, upadł na krzesło; nie zostawał już pod wpływem uniesienia; wyczerpały się jego siły fizyczne i moralne. Nie zmrużył oka przez czterdzieści ośm godzin, i przebył najstraszniejsze wzruszenia, jakie może przetrwać serce człowieka. Zamknął wkrótce oczy i zdrzemnął się, we śnie przesuwały się przed nim wszystkie wypadki zeszłej nocy i kończącego się dnia, z nieubłaganą wiernością. Znajdował się w tym stanie pół-lunatyzmu, w którym dusza czuwa jeszcze ale nie może rozbudzić ciała, wstrząsa nim niekiedy konwulsyjnie, lecz nie jest zdolna wyprowadzić z bezwładności. Jerzy, który usiłował się obudzić a nie mógł dokazać tego, wyciągał przez sen ręce, odpychając od siebie straszne widziadła, i poruszał się z wysileniem na krześle. Otworzył nakoniec oczy, w chwili gdy zdjęty szalonym strachem, zdołał zerwać się z krzesła i pobiedz do drzwi, aby wyjść pomiędzy ludzi i orzeźwić się świeżem powietrzem. Potarł ręką czoło, i czuł, — że się tak wyrazimy — iż rysy jego wracają do zwykłego stanu. Odetchnął głęboko, a potem wrócił na zajmowane przed tem miejsce. Wtenczas spostrzegł że służący przyniósł mu już obiad, ale jak widać nie śmiał go obudzić i oddalił się cicho. Usiadł do stołu lecz nie mógł nic przełknąć. Owładnęło go ogólne osłabienie, błądził bazmyślnie wzrokiem po sprzętach niknących mu stopniowo przed oczyma, w miarę jak wzmagały się cienie nocy.

Nagle usłyszał jakiś hałas za drzwiami i doktór wszedł do niego.

— Komendancie, rzekł, kazałem tu przynieść beczkę.

— Jakąbeczkę? zapytał Jerzy, zrywając się z krzesła.

— Beczkę z okowitą w której zanurzyłem zwłoki komendanta Raula, aby je uchronić od prędkiego rozkładu. Zdawało mi się że nie można znaleźć odpowiedniejszego dla nich miejsca, jak u ciebie komendancie.

— Miałeś słuszność, doktorze, odpowiedział łagodnie Jerzy.

Doktór kazał wejść ludziom niosącym beczkę, za którymi weszło dwóch cieśli, ci ułożyli legary, i po umieszczeniu na nich beczki, przymocowali ją sznurami. Służący Jerzego przyświecał im trzymając lampę. Po wyjściu doktora i majtków, służący sprzątnął ze stołu, położył na nim obok lampy akt kapitulacyi fortu i szpadę gubernatora, rzucone przez Jerzego na fotel, poczem wyszedł.

Jerzy patrzył na te wszystkie przygotowania nieruchomym wzrokiem, gdy pozostał sam, niewysłowiona boleść opanowała jego duszę. Chodził w zdłuż i w szesz po swej izdebce, zatrzymując się to przy stole to przy zwłokach, jakby porównywał trofea swego zwycięztwa, z tą straszną przerażającą ceną jaką je okupił. Nakoniec dwie wielkie łzy potoczyły się z jego oczu, stanął przy zwłokach Raula i położył rękę na ich drewnianem schronieniu.

Fregata płynąca z wiatrem kołysała się silniej, przez co i płyn poruszał się w beczce, nie zupełnie nim zapełnionej, a Jerzemu zdawało się że to serce Raula bije pod jego ręką. Odskoczył o parę kroków, wołając:

— O! Boże! mój Boże!

Od śmierci Raula, ten ostatni krzyk nasuwał mu się ciągle na usta.

— Wszakże to nie ja, ale los pozbawił go życia!.. Nie pozostałem głuchym na jego ostatnie wezwanie... pośpieszyłem mu na ratunek... Zapóźno, niestety!.. Muszę teraz przejrzéć jego papiery. W zawodzie takim jak nasz, codzień można spodziewać się śmierci; napisał też zapewnie testament, i może włożył na mnie obowiązek wykonania jego ostatniej woli.

Otworzył biurko. Pierwszą rzeczą jaką tam spostrzegł, była paczka jego własnych listów. Pisywał je do Raula w różnych czasach, gdy rozłączyli się z sobą na jakieś pare lub kilka tygodni. Przebiegł kilka z nich oczyma z gwałtownem biciem serca: w każdym z nich zapewniał przyjaciela o swem przywiązaniu, o swej niezmiennej i wiernej przyjaźni do ostatniej chwili życia. Odsunął je od siebie blady i drżący. Znalazł także listy ojca Raula i srebrną bransoletkę, zapewnie pamiątkę od tej jasnowłosej kuzynki którą zamierzał zaślubić kiedyś. Nakoniec, w ostatniej szufladce, znalazł drewniane, bardzo płaskie pudełeczko, wielkości ćwiartki listowego papieru, zasunięte cienką deseczką. Wysunął ją i zobaczył kilka zapisanych i zszytych razem ćwiartek papieru. Na pierwszej stronicy u góry było napisane: *Mój testament.*

Jerzy wyjął kartki i przeczytał.

„Jestto mój testament, drogi Jerzy, i tobie go pozostawiam. Dziś wieczór opanował mnie jakiś dziwny smutek, i dlatego postanowiłem wyrazić moją ostatnią wolę, abyś, jeżli umrę lub zginę wciągu tej wojny, mógł wykonać ją kiedyś. Najpierwsze moje rozporządzenie dotycze mego ojca. Póki nie znałem ciebie, nie kochałem nikogo w świecie prócz niego. Pamiętam że będąc jeszcze dzieckiem, ale jak widać poważniejszy nad moje lata, wpatrywałem się w niego niekiedy długo i uważnie, a potem zarzucając mu ręce na szyję okrywałem pieszczotami. W dniach mej pierwszej młodości, ojciec był dla mnie najtkliwszym i najświatlejszym przyjacielem. Od chwili mego oddalenia, byliśmy rozłączeni przez czas i odległość, ale zawsze połączeni myślą. Nie ma dla nas słodszej nadziei nad tę że zobaczymy się jeszcze. Ta nadzieja — kto wie, niestety! czy nie zwodnicza — stanowi jedyną pociechę mego ojca; śmierć moja zadałaby mu cios straszny, okrutny. Sądzę jednak że ten cios zostanie trochę złagodzonym, skoro się dowie że nie przestałem myśléć o nim do ostatniej chwili życia. Obowiązek uwiadomienia go o tem wkładam na ciebie, drogi mój Jerzy; ty zapewnie przyjmiesz ostatnie moje tchnienie, ty zamkniesz mi oczy. Otóż chcę, abyś po swym powrocie do Francyi, widział się z mym ojcem, a gdyby to było niemożliwem, to przynajmniej opisał mu dokładnie najdrobniejsze nawet szczegóły mej śmierci. Nie wiem co mnie pozbawi życia, kula nieprzyjacielska, epidemia czy burza, ale wiem że będziesz mógł powiedzieć mu, i chcę abyś zapewnił, że umarłem spełniając mój obowiązek, i żałując tego nadewszystko że umieram zdala od niego."

Zimny dreszcz przebiegał Jerzego od stóp do głowy, gdy czytał tę pierwszą ćwiartkę. Więc stosownie do woli Raula, on, zabójca miał opisywać śmierć swej ofiary! Odetchnął głęboko a potem czytał dalej:

„Teraz, kochany Jerzy zamierzam wyrazić ci żądanie, może dziwne, które jednak nie zdaje mi się niewykonalnem. Od dnia naszego poznania, przyjaźn twoja stała się dla mnie drugiem życiem. Nie wyobrażałem sobie aby prócz wzajemnego przywiązania rodziców i dzieci, mogło istnieć inne uczucie równie słodkie, równie silne, i tak podobne do miłości. Co prawda mówię ci o miłości, znając ją więcej z przeczucia niż z doświadczenia. W ciągu tych pięciu lat spędzonych po większej części na statku, spotykałem niekiedy piękne i młode dziewczęta na spacerach i balach, było to dość aby się w nich zakochać, ale nie dość aby im wyznać swe uczucia. Prawda i to że kochałem się trochę we wszystkich, co dowodzi że nie kochałem naprawdę żadnej. Wi-

dzisz więc że serce moje nie znało innego uczucia równie głębokiego jak moje przywiązanie do ciebie. Co wieczór zasypiałem ciesząc się tą myślą że nazajutrz rano znajdę się znów obok ciebie. Walcząc, czułem się z tego dumnym że razem z tobą wdzieram się na nieprzyjacielski statek. Wśród zgiełku bitwy szukałem cię często wzrokiem, gotów śpieszyć ci na pomoc, lub zawezwać twojej. Dzięki tej wspólności niebezpieczeństw, radości i smutków, życie moje stało się prawdziwie pięknem i szczęśliwem. Zresztą, jeźli się nie mylę, ta wspólność wywarła na nas jakiś wpływ tajemny, z którego wyrodził się niezwykły i dziwny fenomen: staliśmy się bezwiednie cząstkami uzupełniającemi się wzajemnie. W wielu razach mamy jednakie myśli, i jednakowy sposób wyrażania ich. Ileż to razy w ciągu rozmowy, słyszałem wychodzące z ust twoich też same słowa które chciałem wymówić. Ile razy ja znów, odgadywałem z twego spojrzenia lub uśmiechu to co zamierzałeś powiedzieć! W skutek ciągłego przestawania z sobą, przybraliśmy też same ruchy, takąż samą postawę, tenże sam dźwięk głosu, tak że często brano jednego z nas za drugiego. Nie byliśmy do siebie podobni, a jednak nasza długoletnia przyjaźń nadała nam to rodzinne podobieństwo, istniejące między dziećmi jednych rodziców. Ale też czy sercem nie jesteśmy braćmi, i czy nie jest rzeczą naturalną że każdy zachowuje na swej twarzy, odbicie innej, tak gorąco ukochanej.

„Otóż, drogi mój Jerzy, jeźli mam umrzeć wkrótce, nie chcę umrzeć zupełnie, pragnę odżyć w tobie. Jestem pewnym że nie zapomnisz o mnie, że długo będziesz żałować twego biednego przyjaciela, ale to nie dość dla mnie — pragnę czegóś więcej jeszcze. Pragnę abyś po mojej śmierci, starał się nie tylko zachować, ale, jeźli to być może, powiększyć podobieństwo istniejące między nami, naśladując moje ruchy przyswajając sobie wyrażenia używane zwykle przezemnie, przybierając moje nawyknienia. Nie będzie to trudnem dla ciebie; pozostaniesz tylko takim jak jesteś obecnie. Życzę sobie także, abyś i nadal nosił włosy długie, jak je nosimy teraz. Ah! mój przyjacielu, nie dla czczej fantazyi proszę cię o to, lecz że sama pamięć serca nie jest zdolną przechować na zawsze równie silnego wspomnienia o zmarłym przyjacielu, że chcę odżyć poniekąd w tobie, aby pozyskać pewność że nie zapomnisz mnie nigdy.

„Bądź zdrów, drogi mój Jerzy, czytać to będziesz dopiero po mej śmierci i jak widzisz mówię do ciebie jakbym nie należał już do tego świata. Nie zapomnij odwiedzić mego ojca; jakże pragnę aby patrząc na ciebie, znalazł w tobie podobieństwo do utraconego na zawsze syna!”

Jerzy przeczytawszy testament Raula zerwał się przerażony.

— O! nie, zawołał, to nieszczęsne podobieństwo nie istnieje rzeczywiście, jestto niemożebne!

Przy drugiej ścianie znajdowało się wielkie lustro, a po obu jego stronach dwa świeczniki przytwierdzone do ściany. Zapalił wszystkie świecie, a następnie stojąc przed lustrem długo przyglądał się sobie, badając swe rysy, jakby się widział po raz pierwszy.

„Moje włosy podobne do jego, mówił sobie półgłosem może kształtem czoła i nosa przypominam go także trochę, ale mam podbródek kwadratowy, usta proste, prawie zacięte, gdy jego były wydatniejsze i uśmiechnięte O! tak, usta moje są zupełnie inne, gdyż jego miały wyraz niewysłowionej łagodności i dobroci. Oczy mam blado niebieskie, i niczem nie przypominają jego oczu bardzo czarnych i smętnych. Ja mam być do niego podobnym? przewidzenie! dodał z przeczącym i gniewnym ruchem.

Ale zbladł jednocześnie. Wzruszył ramionami zupełnie tak jak Raul wzruszał swemi, klasnął palcami zupełnie tak jak on, a ponieważ patrzył ciągle na siebie, pomimo że odwrócił się na wpół od lustra, zdawało mu się że widzi w nim nie swoją ale Raula postać.

Nie śmiał spojrzeć raz jeszcze, zadmuchnął świece, zsunął śpiesznie do szuflady wyjętę papiery, i nie odwracając się, nie wymówiwszy jednego słowa, bo przerażał go własny głos rzeczywiście podobny do głosu Raula, wybiegł z mieszkania na pokład.

Pozostawał tam już czas jakiś, oddychając chciwie ożywczem tchnieniem morskiego wiatru, i odzyskując stopniowo panowanie nad sobą, gdy oficer służbowy zbliżył się do niego.

— Komendancie, rzekł, zdaje mi się że jutro rano będziemy mieć wiatr bardzo silny.

Jerzy powiódł w koło oczyma. Niebo przybrało barwę ołowianą, chmury przeciągały nizko, jaskrawe błyskawice przesuwały się od czasu do czasu przez obłoki. Wiatr uciszał się nagle a potem powstawał z większą jeszcze siłą; powietrze było ciepłe i wilgotne. Czoło Jerzego wypogodziło się, gdy patrzył na te oznaki zwiastujące zbliżającą się burzę — walka z żywiołami oswobodzi go od walki z myślami swemi.

— Sądzę, rzekł do oficera, że wypada zwinąć część żagli zanim wiatr się wzmoże, abyśmy nie mieli jutro rano zbyt wiele do roboty.

Kazał sobie przynieść płaszcz, otulił się nim, usiadł na ławce opierając się plecami o parapet, i prawie natychmiast zasnął snem twardym. Gdy się przebudził wicher zaczynał już się srożyć, i przeciskał się świszcząc między masztami. Oficer służbowy spełnił jego rozkaz, i zwinięto większą część żagli. Jerzy otwierając oczy, zobaczył stojących przed nim oficerów i doktora, wywołanych na pokład wiadomością o zbliżającej się burzy. Doktór przyglądał mu się uważnie.

— A! przespałem się, rzekł Jerzy, ale też potrzebowałem tego bardzo.

— Dziwna rzecz, komendancie, odezwał się doktór, że śpiąc byłeś zupełnie podobnym do biednego komendanta Raula.

— Czy rzeczywiście, doktorze? zapytał drżącym głosem Jerzy.

Nie czekając na odpowiedź, zaczął wydawać rozkazy oficerowi służbowemu. Zresztą czas było zająć się fregatą, bo burza wybuchła już całą siłą. znaczna część dnia upłynęła wśród zupełnej ciemności. Szalony wicher, połączony z ulewnym deszczem miotał fregatą, uciszając się zaledwie na chwilę. Dopiero koło wieczora burza uspokoiła się znacznie, a jakkolwiek morze było bardzo wzburzone, puszczono się w dalszą drogę. Około północy, Jerzy osądził iż może już wrócić do siebie; walka z żywiołami podniosła go w jego własnych oczach, zdawało mu się że nie ulegnie już strasznym wzruszeniom dręczącym go wczoraj. Aby mógł wybiedz na pokład w każdej chwili, w razie gdyby okazała się tego potrzeba, usiadł nierozebrany na wielkim fotelu stojącym przy ścianie z lewej strony stolika, naprzeciwko długiej beczki mieszczącej w sobie zwłoki Raul. Lampa zawieszona u sufitu wydawała już słabe światło, a fregata miotana bałwanami, trzeszcząc w swych spojeniach, wydawała odgłos smutny, podobny do jęku. Jerzy, ulegając znużeniu, zaczynał już zasypiać, gdy w skutek nagłego i gwałtownego przechylenia statku, beczka ciężarem swym przerwała przytrzymujące ją sznury, zsunęła z legarów, i potoczyła się ku niemu z nadzwyczajną szybkością. Jednak, ponieważ fregata przechylała się z boku na bok bardzo prędko, więc dotoczywszy się do środka, zatrzymała się tam przez parę sekund, potem została odrzuconą ku legarom o które uderzyła silnie. Jerzy zerwał się i odskoczył aby mu nóg nie przygniotła. Pozwolił jej potoczyć się powtórnie ku lewej stronie, a gdy z przechyleniem fregaty wracała ku prawej, pobiegł za nią, uchwycił dwoma rękami, schylił się, i podpierając ją barkami, usiłował wsunąć na legary, ale zamiast dokonać tego, potoczył się z nią na środek statku. Próbował tego jeszcze raz drugi i trzeci ale zawsze napróżno. Te bezużyteczne usiłowania przerodziły się nakoniec w jakąś szaloną walkę. Za każdym razem, Jerzy uniesiony jakimś szałem, podwajał usiłowania, wtaczał do połowy beczkę, która jednak spadała pociągając go za sobą. W krótce spostrzegł że siły jego wyczerpują się, i że w miarę ich ubytku traci przytomność umysłu. Jeźli wczoraj zdawało mu się że czuje przez drzewo uderzenia serca Raula, to teraz, trzymając beczkę oburącz wyobrażał sobie że to Raula tak trzyma, i że Raul przyciska go także do siebie. Przez chwilę zdawało mu się że stąpa we krwi i ma krew na ręku; to złudzenie miało pewną podstawę: w beczce uderzającej ciągle o legary, zrobiła się mała szpara, przez którą sączyła się okowita, i zwilżyła tak jej powierzchnię jak podłogę. Jerzy zachował jeszcze tyle przytomności umysłu, że zrozumiał co się stało, ale to właśnie doprowadzało go do zupełnego prawie szaleństwa. Przyszło mu na myśl że beczka może się rozlecieć, a w takim razie przyjdzie mu staczać walkę wprost z ciałem Raula. Odtąd z większą jeszcze zaciętością zużywał siły na dokonanie rzeczy niemożliwej; osłabiony i prawie bez tchu potrafił zaledwie przytrzymywać beczkę przy murze i uchronić się od upadnięcia. Nakoniec w rozpaczliwym wysiłku zdołał ją wtoczyć na legary, ale jednocześnie pośliznął się i upadł tuż przy niej. — Nie poruszała się już teraz oparta na nim i na ścianie. — Jerzy leżąc spokojnie oprzytomniał trochę, do czego zresztą przyłożył się ból fizyczny, gdyż beczka w części opierała się na nim. Korzystając z chwili gdy fregata przechylając się na prawy bok uwolniła go od ciężaru, zerwał się na nogi, i chwyciwszy sznur od dzwonka, targał nim dopóki nie przybiegło kilku marynarzy będących na służbie.

— Dopomóżcie mi umieścić tę beczkę na legarach rzekł do nich.

Stoczyła się znów pozbawiona podpory.

Marynarze umieścili ją na legarach i przytwierdzili mocno sznurami. Skoro wyszli, Jerzy upadł prawie bezwładny na łóżko.

IV.

Burza ucichła prawie zupełnie przed wschodem słońca, a około czwartej wieczorem *Thétis* zarzuciła kotwicę w przystani Gwaldelupy. Jerzy musiał się ubrać i pośpieszyć do gubernatora. Nie tylko że gwałtowne wzruszenia przebyte w nocy pokryły twarz jego bladością, ale sercem jego miotał ciężki niepokój. Wiedział że choć wraca jako zwycięzca, zapytają go o powody śmierci Raula, a jak każdy zbrodniarz, obawiał się czemś zdradzić. Trzeba było także okazywać żal i smutek, a ciężko mu jeszcze było przywyknąć do obłudy. Po przeczytaniu testa-

mentu i przebyciu strasznej walki w ubiegłej nocy, nie tylko że nie doznawał już ani boleści, ani zgryzoty, ale przeciwnie powziął nienawiść do zmarłego, że tak zamąca mu życie. Ubierał się wolno aby się uzbroić w odwagę, i ułożyć twarz stosownie do okoliczności. Wyrobił już w sobie pewny spokój, gdy mała drobnostka rozdrażniła go znów do najwyższego stopnia. Kilka miesięcy temu, upuścił przypadkiem swą szpadę w morze, i nie kupił jeszcze innej, używając należącej do Raula. I teraz znów jeszcze musiał uczynić toż samo, ale ręce mu drżały gdy zapinał pendent zupełnie zastosowany do jego figury, zdawało mu się że się opasuje rozpaloną obręczą. Uderzył z gniewem nogą w podłogę, umoczył ręce w zimnej wodzie, potem uchwycił z wyzywającym ruchem akt kapitulacyi i szpadę gubernatora, wybiegł na pokład, a w parę minut później był już na lądzie.

Gubernator zapytał go zanim jeszcze zdołał przemówić:

— Czemu komendant Raul sam tu nie przyszedł?

— Komendant Raul już nie żyje, odpowiedział Jerzy.

— A więc wyprawa się nie powiodła?

— Przeciwnie, panie gubernatorze, przynoszę panu akt kapitulacyi, oraz szpadę angielskiego komendanta fortu.

Gubernator przebiegł szybko oczyma wręczony mu papier.

— Cóż było powodem śmierci tego biednego Raula? zapytał,

Jerzy opowiedział, że wyszli obaj, lecz każdy w inną stronę, na rekonesans, z którego Raul już nie wrócił. Dodał zarazem że nazajutrz, po zdobyciu fortu, znaleziono go już martwego w głębokiej rozpadlinie, w którą, jak widać wpadł przypadkiem, i że przewieziono ciało jego do Gwadelupy.

Gubernator milczał parę minut, a na twarzy jego odbiło się bolesne wzruszenie.

— Taki to los żołnierza, odezwał się nakoniec, biedny Raul!

Utkwił wzrok w twarzy Jerzego, który obawiając się czy gubernator nie powziął jakiegoś podejrzenia, pobladł widocznie.

— Panie, dodał po chwili, wiem że byłeś najlepszym przyjacielem Raula: możesz być pewnym że podzielam twój smutek.

Mówiąc to podał swą szlachetną dłoń człowiekowi który dla osięgnięcia sławy i zaszczytów dopuścił się zbrodni.

— Zrobię dla pana, rzekł jeszcze, to co byłbym zrobił dla Raula: postaram się abyś otrzymał stopień kapitana fregaty, i mam nadzieję że go otrzymasz. Tymczasem pozostaniesz komemdantem *Thétis*. Teraz wróć na swój statek i wydaj rozkaz aby ciało naszego biednego kolegi, zostało przeniesione na ląd, jutro rano o dziewiątej godzinie. Przyjmę je sam na brzegu, gdyż nie mogąc już nic uczynić dla niego, chcę przynajmniej zająć się jego pogrzebem.

Jerzy ukłonił się i wyszedł. Aby dostać się do swej łodzi, musiał przechodzić przez dość liczny tłum ciekawych, zwabionych na wybrzeże wiadomością o powrocie *Thétis*. Dowiedzieli się już od marynarzy wszystkich szczegółów wyprawy, i stała się wśród nich ogólnym przedmiotem rozmowy. Jerzy zbliżając się już do swej łodzi, słyszał że jeden z obecnych mówił wskazując na niego:

— Patrzcie, to nowy komendant fregaty *Thétis*. Był najlepszym przyjacielem komendanta Raula, i nawet trochę podobny do niego.

Tymczasem Jerzy nie smucił się wcale, nabrał przeciwnie tego zuchwałego zaufania w siebie, jakie wyrabia się w złoczyńcach w skutek bezkarności. Pomimo to był rozdrażniony i niejspokojny, myślał o tem ze drżeniem że do pogrzebu Raula upłynie jeszcze dwadzieścia cztery godzin, i że przez ten czas nie zdoła może udać dobrze żalu, który nie gościł w jego sercu. Prócz tego w ciągu tych ostatnich paru dni doznawał tak gwałtownych wstrząśnień, że nie mógł się wyzwolić od jakiejś przesądnej obawy. Słowa które usłyszał przechodząc, stwierdzające pewne podobieństwo między nim a Raulem, przejmowały go dreszczem, ile razy przypomniał je sobie. Stanąwszy na pokładzie statku, musiał wydawać drażniące go rozporządzenia. Uprzedził doktora że nazajutrz rano ma wyjąć zwłoki Raula z tymczasowego ich schronienia; przywołał stolarza i kazał mu zrobić trumnę. Nakoniec polecił starszemu porucznikowi, aby marynarze przeznaczeni do odprowadzenia ciała jutro przed dziewiątą, włożyli galowe mudury, i aby wydał wszelkie niezbędne w takim razie rozporządzenia. Następnie zjadł naprędce obiad, i wrócił na ląd; nie chciał przepędzić drugiej nocy obok ciała Raula.

Wieczór był zachwycająco piękny. Jerzy szukający samotności, przebiegł szybko miasto i zapuścił się w jego okolice. Do słuchu jego dochodziły tysiączne odgłosy zlewające się z sobą razem, a ta całość tworzyła jakiś szmer wspaniały. Czuć było przebudzenie się odrębnego, nocnego świata. Ptaki nocne opuszczały cieniste drzewa, zakreślały w powietrzu koła, a potem przestraszone promieniem księżyca, wracały szybko do swych ciemnych kryjówek. W dali, na skraju lasu, odzywały się głosy przebywających w nim zwierząt. Rośliny wydawały woń upajającą. W trawie i na mchu połyskiwało tysiące owadów, przystrojonych w najżywsze barwy, a świetliki zaściełające prawie ziemię, snuły się po niej jak wielkie gorejące iskry. Niekiedy, na ścieżkę którą postępował Jerzy, wysuwał się z pod krzaka wąż, i przestraszony odgłosem jego kroków uciekał wijąc się i sycząc. Te szmery i głosy, ta woń upajająca, ta cała natura pozornie uśpiona a jednak pełna życia, wywierała na Jerzym silne wrażenie. Nie był przyzwyczajonym do podobnego widoku, całkiem odmiennego od tych jakie można spotykać na Oceanie. Wielkie i odwieczne prawa ucziszają lub wzburzają fale, i według nich także poruszają się ciała niebieskie, ale nie drga w nich życie, i zdają się pozostawać po za obrębem świata, gdy tu, wszystkie twory natury, począwszy od zwierząt aż do roślin, żyły życiem zbliżonem do ludzkiego. Jerzy patrzył i podziwiał, a nieprzyzwyczajony do samotnych przechadzek, obejrzał się szukając przy sobie Raula; nie oswoił się jeszcze z jego nieobecnością. Przypomniawszy sobie nagle czemu nie widzi go obok siebie, przeląkł się swego osamotnienia, zawrócił, i puścił się przyśpieszonym krokiem ku miastu. Dochodząc do niego, znalazł się przypadkiem przy murze cmentarnym, tak nizkim że przechodząc mógł widzieć przy świetle księżyca, krzyże, nagrobki i przesuwające się wśród nich szakale. Te, spłoszone jego obecnością, uciekały wydając chrapliwe i żałośne krzyki, i przeskakując przez mur, niknęły w zaroślach. Zimny dreszcz wstrząsał nim na myśl, że ich spłoszył od obrzydłego bankietu, i że może jutro naruszą grób Raula. Zaczął biedz tak szybko że gdy dobiegł do miasta już mu tchu brakowało, zatrzymał się chwilę, a potem szedł już wolno. Błądził jeszcze długu bez celu po pustych ulicach, aż w końcu znużony, zaczął sobie szukać schronienia w którem mógłby przepędzić resztę nocy. Spotrzegł wkrótce chatkę zbudowaną z trzciny oblepionej błotem, przez której wąziutkie okienko, widać było słabe światło, a od czasu do czasu dawały się słyszeć dźwięki gitary. Zajrzał przez okienko, i zobaczył starą murzynkę w różowej sukni i w żółtym madrasie na głowie, z gitarą w ręku, i śpiewającą jakąś kreolską piosenkę. W przestankach odwilżała gardło rumem, stojącym przy niej w butelce. Popchnął drzwi trzymające się na słomianych zawiasach, i wszedł. Murzynka przestraszona krzyknęła, ale Jerzy wsunął jej w rękę piastra, potem usiadł na krześle, prosząc aby sobie nie przerywała. Rozweselona datkiem i libacyami, śpiewała wolno i ochrypłym głosem wszystko co tylko umiała. Jerzy słuchał jej pogrążony w jakiemś otrętwieniu, nie będącem ani snem ani czuwaniem. Rad był ze swego stanu obecnego, gdyż uwalniał go jednocześnie od dręczących go znów myśli. Odpoczywał teraz, i nabierał sił potrzebnych do przetrwania strasznych wzruszeń czekających go nazajutrz. Gdy się rozwidniło, wstał i wyszedł nie ociągając się ani chwili. Jerzy posiadał jedną z tych energicznych natur nie słabnących nigdy w ciągu walki, a wszakże miała rozpocząć się dla niego. Skoro wszedł na pokład, zastał tam doktora oczekującego jego powrotu. Poczciwy ten człowiek, sądząc że Jerzemu miło będzie zobaczyć raz jeszcze przyjaciela, powstrzymał się z włożeniem Raula do trumny. Jerzy podziękował mu, ale przyrzekł sobie w myśli, że postara się o jaknajśpieszniejsze przeniesienie na inny statek człowieka pokładającego tak głęboką wiarę w niezmienność przyjaźni. Przeniesienie zwłok do trumny odbyło się bardzo prędko, gdyż wszystko było już przygotowane, jednak Jerzy mógł widzieć powtórnie wyraz sarkazmu i rozpaczy wyryty na twarzy Raula, który teraz nie tylko że nie zniknął, ale przeciwnie stał się jeszcze wydatniejszym.

Orszak pogrzebowy odpłynął natychmiast. Dwie wielkie łodzie ciągnęły szalupę na której umieszczono trumnę. Cała osada *Thétis* stała na parapecie. Flagi na fregacie i na żaglowych łodziach były zwinięte. Co parę minut dobosz stojący na przodzie łodzi, wyprzedzającej inne, uderzał dwa razy w bęben osłonięty czarną krepą. Jerzy płynął w swej szalupie, tuż za szalupą zastępującą miejsce karawanu. Zbliżając się do wybrzeża, wyprzedził ją, wysiadł na ląd i kierował sam wylądowaniem pogrzebowego orszaku.

Gubernator otoczony oficerami garnizonu, wyszedł naprzeciwko ciała, po obu stronach drogi stało wojsko; skoro tylko wyniesiono trumnę na brzeg, orszak pogrzebowy odprowadził ją do kościoła, a z tamtąd po nabożeństwie na cmentarz. Jerzy postępował zaraz za trumną, z oczami spuszczonemi, z twarzą bladą, zmienioną. Można było sądzić że ukrywał swą boleść mężką siłą duszy, gdy tymczasem on ukrywał tylko gniew że był zmuszony odgrywać rolę stroskanego, i radość że wkrótce uwolni się od niej. Po spuszczeniu trumny do grobu gubernator pożegnał Raula, wyrażając swój żal w krótkich lecz wymownych słowach.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 49.

(*Dokończenie.*)

N. 20. Wałek pod głowę,

Zwierzchnie pokrycie 43 cent. długie a 40 szerokie dane z żółtawej materyi, przerabianej gobelinowo, ozdobionej aplikacyą kwiatów robotą krzyżową. Kontury aplikacyi otacza sznureczek złoty. Boczne zakończenie wałka stanowią pasy ponsowego aksamitu po 11 c. szerokie, oszyte z brzegu frendzlą ponsową z żółtym, 9 c. szeroką, w górze zmarszczone na sznury jewabne z pomponami.

N. 22. Kapelusz z jedwabnego filcu.

Fason z płaskiem rondkiem i prostą główką, opasany jest szeroką czarną aksamitką. Z prawego boku ku przodowi dane kilka strusich piórek i kokarda z wstążki; z wierzchu rondka dane przefałdowanie z koronki 14 centym. szerokiej, ułożonej z tyłu w kokardę.

N. 23. Kapelusz z kolorowego filcu. Fason zielony filcowy z główką 12 c. wysoką i 5 c. szerokiem rondkiem, przybrany jest kokardami z aksamitki 6 c. szerokiej, z wierzchu zielonej, od spodu ponsowej. Skrzydełko zielone i ponsowe.

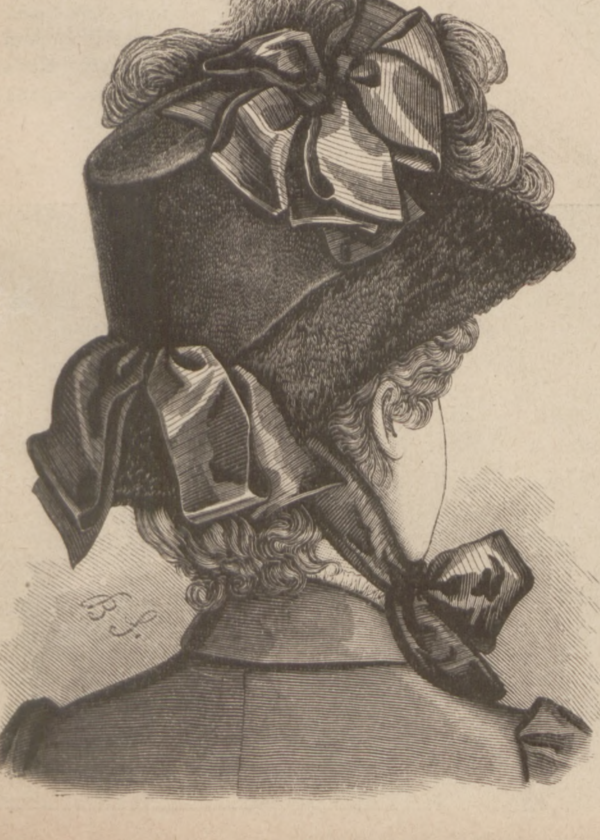
N. 28—29 i 34. Przykrycie do wózka. Robota tkacka.

Szczegółowy opis tej roboty daliśmy w N-rze 48,



N. 1—5. Ubrania do teatru lub na koncert.

N. 1. Pelerynka koronkowa. N. 2. Szalik z tłem jedwabnem. N. 3. Stanik bluzkowy z paskiem Medicis. N. 5. Stanik z chusteczkowem przybraniem. N. 4. Szalik tiulowy z aplikacyą ze słomy. Patrz r. 21 i r. 23 w N. 48.



N. 6. Kapelusz z jedwabnego filcu.



N. 8. Kasetka pluszowa zdobna filigranowemi kwiatami. Patrz ryc. 9—15.



N. 9. Gałązka filigranowa. Patrz ryc. 10—15.



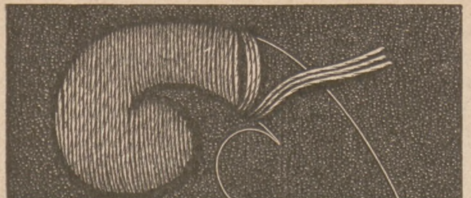
N. 10. Kwiatek filigranowy. Patrz ryc. 9—15.



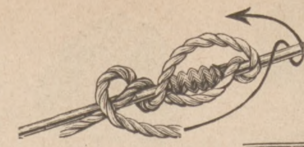
N. 11. Pączek. Patrz ryc. 8—15.



N. 7. Kapelusz aksamitny.



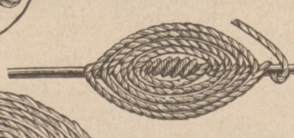
N. 16. Wyszycie ściegiem renaissance do r. 25. Patrz ryc. 17.



N. 13. Zaczęcie listka robotą filigranową. Patrz r. 8—15.



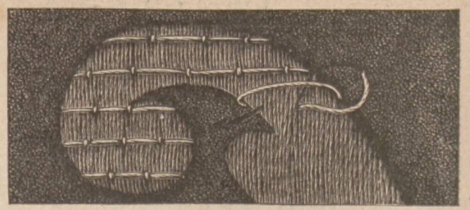
N. 12. Środeczek do kwiatka.



N. 14. Okręcanie listka. Robota filigranowa.



N. 15. Lewa strona listka. Robota filigranowa patrz ryc. 8—15.

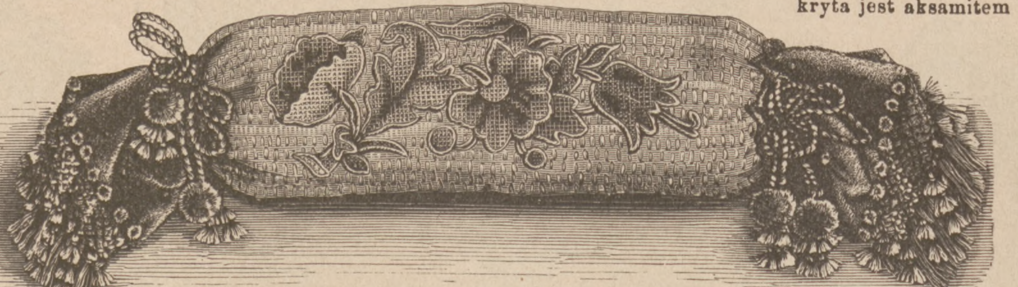


N. 17. Wyszycie ściegiem renaissance (przeprowadzenie ściegów poprzecznych.) Patrz ryc. 16.

dziś ryc. 29 przedstawia przykrycie do wózka dziecinnego, złożone z dwojakich pasów, jedne tkane w skośne prążki, jak na ryc. 34, drugie zdobne wyszyciem podług ryc. 28. Tło w pasach, zdobnych wyszyciem, tkane jest z nitek podwójnych jednakowo na dwie strony, a wyszycie dane włóczką angielską i filozelą, ściegiem luźnym. Łączenie pasów przez obrobienie i łańcuszek szydełkowy, wskazuje rycina 32.



N. 18. Ząbki szydełkowe.



N. 20. Wałek pod głowę.

N. 30. Serweta podłużna. Robota tkacka.

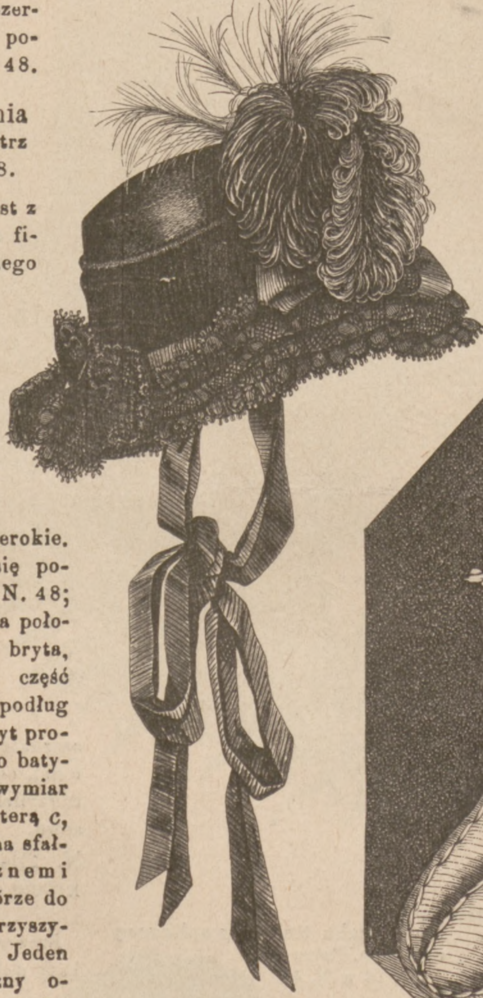
Liczy 72 cent. długości a 46 szerokości i składa się z pasów z włóczki kolorowej, koloru oliwkowego w dwóch cieniach. Węższe pasy tkane są podług ryc. 18 w N. 48 i wyszyte filozelą podług r. 27; szersze zaś tkają się podług r. 21 w N. 48.

N. 37. Suknia haftowana. Patrz r. 22 w N. 48.

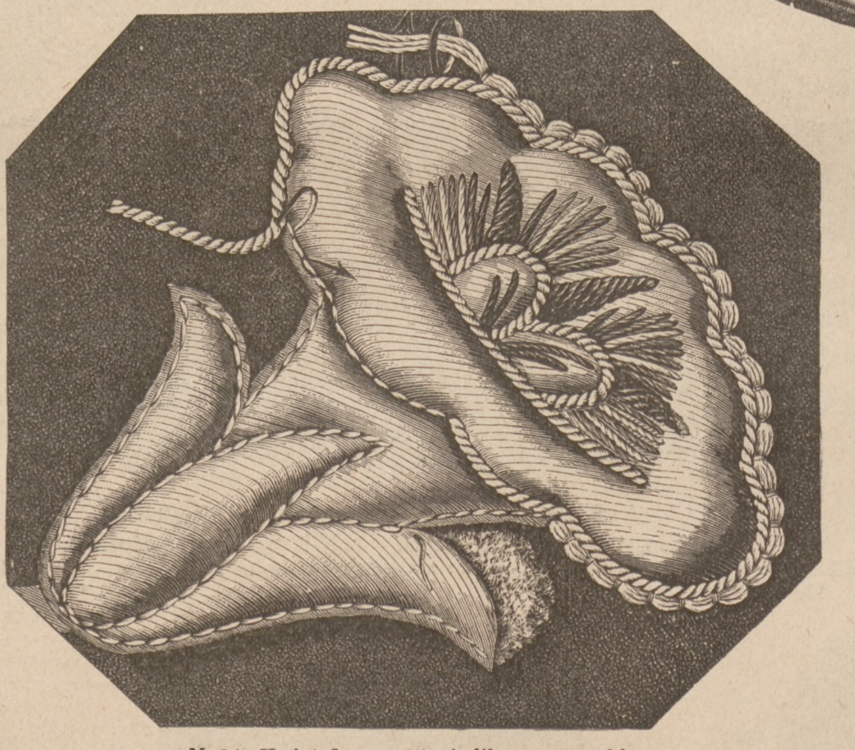
Odrobiona jest z batystu, koloru ficelle, haftowanego maszynowo; na spódnicy dane naprzemian 25 c. szerokie plisowanie z gładkiego batystu i wolanty haftowane 19 c. szerokie. Tunika kraje się podług ryc. 22 w N. 48; litera *a* oznacza połowę przedniego bryta, *b* daje boczną część tuniki, upiętą podług ryc. 37; tylny bryt prosty z gładkiego batystu którego wymiar wskazany pod literą *c*, zwraca się dwoma sfałdowanemi bocznemi brzegami ku górze do paska sukni i przyszywa na spódnicy. Jeden brzeg poprzeczny opuszcza się w bufę, drugi po sfałdowaniu przyczepia do brzegów rozporka u sukni. Plecy stanika mają podwójne karoczko, złożone podług ryc. 37.



N. 21. Koronka z aplikacyą słomkową do ryc. 4.



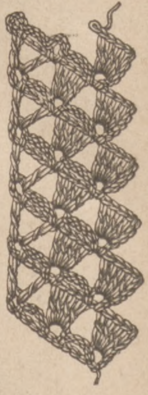
N. 22. Kapelusz z jedwabnego filcu.



N. 24. Kwiat do ryc. 25. Aplikacya wypukła.

N. 38. Suknia z vêtement. Rękaw patrz r. 26 do 27 w N. 48.

Spódnica uszyta z materyału podszewkowego, ma u dołu 3 c. szeroką falbankę jedwabną, wyżej zaś o ile widoczna z pod vêtement, pokryta jest aksamitem mieniącym się ponsowo i zielono, zaszytym w odstępie 12 c. w zakładki 4 c. głębokie. Vêtement z zielonego sukienka, ma plastron z materyi mienionej jak aksamit. Plecy krają się na długość baskiny i dopełniają dwoma prostemi brytami, po 100 cent. długości a 64 szerokości. Brzegi boczne zszyte są w całej długości z boczkami, środkowy szew nie dochodzi na 36 cent do dołu; brzeg górny zmarszczony kilkakrotnie do 18 cent. szerokości przyszyty jest do pleców. Podpięcie boczne dane na haftki i pentelki podług ryc. 38. Kołnierzyk stojący bardzo wysoki ma wszyte druciki w wywinięte rogi przednie; dwa rodzaje przybrania rękawów, wskazują ryc. 26 i 27 w N. 48.



N. 19. Ząbki szydełkowe.

N. 39. Szlak z wyszyciem „punto tirato“.

W całem tle pod szlak wyciąga się na kratkę po cztery nitki na krzyż, w odstępach również czteronitkowych, następnie daje się wyszycie rzędami skośnemi podług r. 39. Szczegółowy opis podawaliśmy w dawniejszych numerach Tygodnika Mód.



N. 23. Kapelusz filcowy.

N. 40. Kapotka dla dziewczynki.

Ma główkę 8 c. wysoką, pokrytą gładko bronzowym aksamitem, rondko 9 cent. szerokie z wierzchu bronzowe od spodu różowe, atłasowe, przymarszczone jest w równych odstępach na druciki stopniowej długości. Kokardy i rozety z wstążki atłasowej 9 cent. szerokiej; końce do wiązania 5 cent. szerokie.

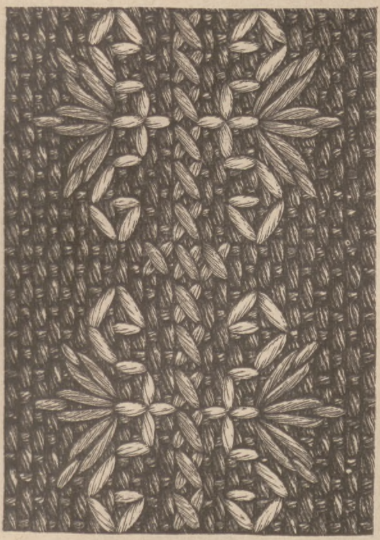


N. 25. Szlak z aplikacyą wypukłą i haftem renaissance. Patrz ryc. 16—17 i 24.

N. 41—46. Ubrania dla dzieci lat 4—6.

N. 41. Bluzka dla małego chłopczyka.

Majteczki i bluza zapięta z boku na guziczki są z zielonego sukienka; wy-



N. 27. Pas robotą tkacką zdobny wyszyciem.

szycie dane z czarnego jedwabnego sutaszu; guziczki metalowe, pasek 3 c. szeroki.

N. 42. Ubranie z bluzką marszczoną, dla dziewczynki.

Do spódniczki wełnianej w kratę białą z niebieskiem 38 cent. długiej a 300 cent. szerokiej, zaplisowanej w płaskie fałdy, włożona jest bluzka niebieska kaszmirowa z karczkiem przemarszczanym, zapięta z tyłu na guziki. Na wcięciu stanu dane trzy rzędy marszczenia podszyte elastyką; dolny brzeg bluzki oszyty koronką.



N. 26. Wykonanie roboty tkackiej na ręcznym warsztaciku. Patrz ryc. 3—21 w N-rze 48.

ki wolant z materyału w kratę. Przody i boczki vêtement krajane krócej, plecy zaś znacznie przedłużone, złożone w kontrafałdy.



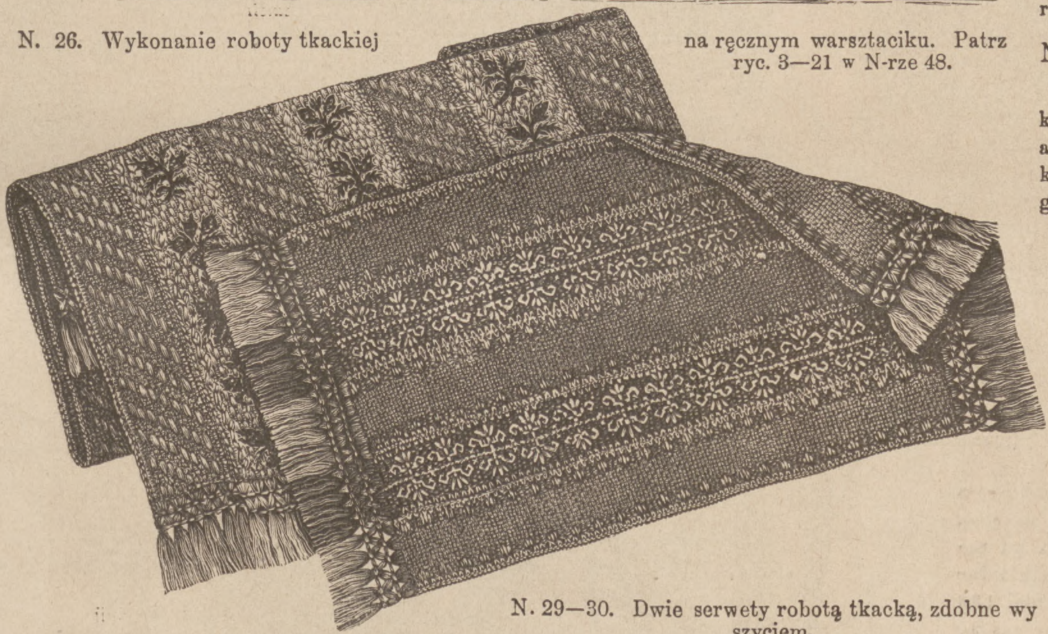
N. 28. Pas tkany z nitek podwójnych zdobny wyszyciem

N. 44. Sukieneczka z marszczonym plastronem.

Spódniczka plisowana i paletocikowy staniczek uszyte z ciemno-zielonego kaszmiru, zaś plastron marszczony dodany z materyi jedwabnej mienionej ponsowo z zielonem; takież bufki przy rękawach.

N. 45—46. Sukienka z vêtement

Odrobiona jest z matearyału gładkiego i w paski lub kratkę i przybrana aksamitką lub pletnią 2 i pół c. szeroką; plisowana spódniczka z materyału gładkiego, ma z jednej strony dodany



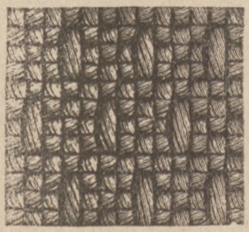
N. 29—30. Dwie serwety robotą tkacką, zdobne wyszyciem.



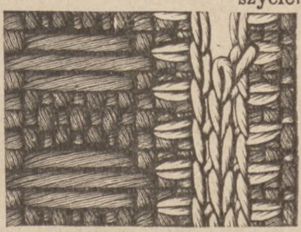
N. 37. Suknia haftowana. Patrz r. 22 w N. 48.

N. 43. Sukieneczka z vêtement.

Na spódniczce z materyału podszewkowego oszytej wązką plisowaną falbaneczką dany szero-



N. 31. Lewa strona roboty do ryc. 19 w N-rze 48.



N. 32. Łączenie pasów przez obrobienie i łańcuszek szydełkowy do ryc. 30.

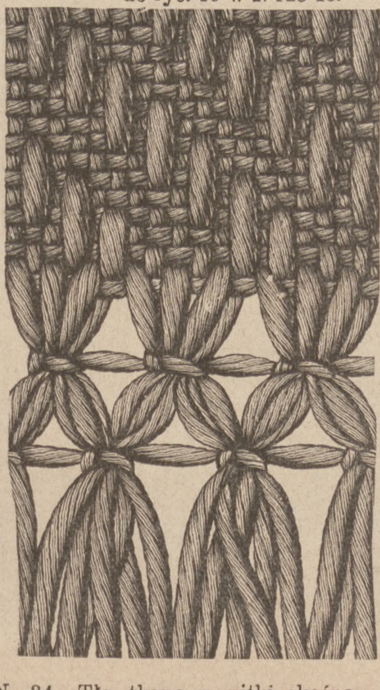


N. 38. Suknia z vêtement.

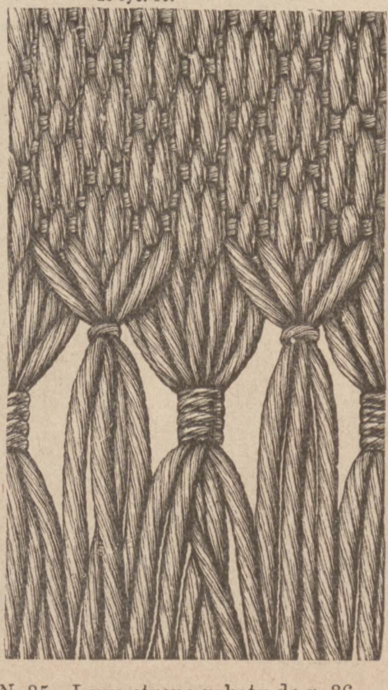
klin deseniowy, zakończony u dołu pukielkami po 3 i pół cent. długości Przody krajane 17—20 cent. szerszej, po zmarszczeniu przyszywają się do karcz-



N. 33. Tło tkane w nitki skośne. Patrz rycinę 34. (Strona prawa).



N. 34. Tło tkane w nitki skośne. zakończone frendzlą. Patrz ryc. 31. (Strona lewa).

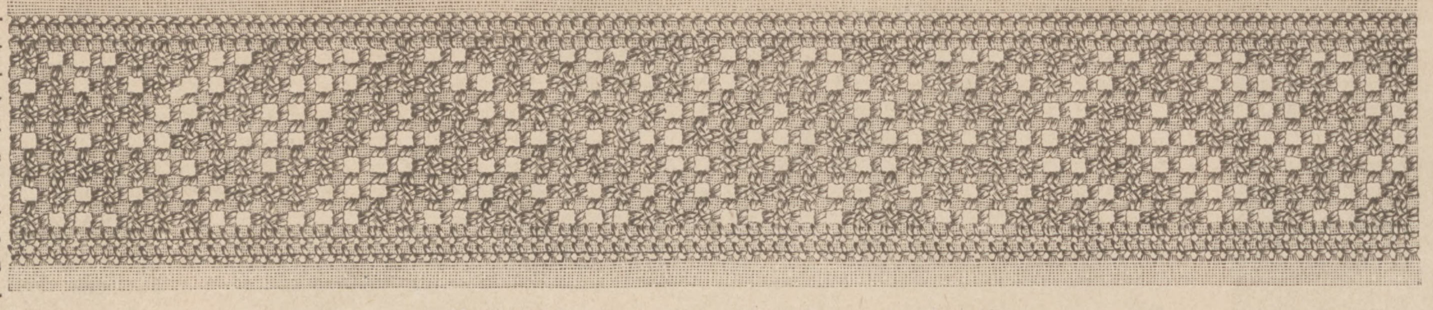


N. 35. Lewa strona roboty do r. 36.



N. 36. Tło tkane deseniowo. Patrz ryc. 35.

ka z materyału deseniowego i przemarszczają powtórnie na wcięciu w pasie; brzegi boczne są zmarszczone i zachodzą na plecki vêtement Boczki krają się tylko do stanu, dalej zaś dopełniają oddzielnemi częściami po 11 cent. długiemi. Plecy przemarszczane tak jak przody, zakończone wielką kokardą podług ryc. 46.



N. 39. Szlak z kratki ażurowej i ściegu „punto tirato“.

N. 48. Suknia z vêtement.

Spódnica o ile widoczna jest z pod vêtement, przykryta atłasowem pliscwaniem. Vêtement z materyału wełnianego w kratę, ma długie przody u góry podpięte á paniers; przody stanika lekko namarszczone, rozchodzą się pod szyją i odsłaniają marszczoną atłasową szmizetkę. Z boku przy kołnierzyku stojącym i w pasie rozety z aksamitki.

N. 47. Suknia z draperyą.

Uszyta z ciemno-zielonej angielskiej flanelki, przybrana plisami atłasowemi 15 cent. szerokiemi. Przednia fartuszkowa część draperyi upięta z bryta 140 c. szerokiego a 150 długiego, z boków ściętego skośnie, w górze zmarszczonego i przyszytego na sukni 10 cent. poniżej paska. Upięcie tylne dane z dwóch brytów, z których spodni 132 cent. szeroki, a 57 długi, zwierzchni zaś 90 cent. szeroki a 50 długi. W stanik wszyte są kliniki atłasowe, odznaczające się na ryc. 47.



N. 40. Kapotka z rondkiem marszczonem.



N. 41. Bluzka dla chłopczyka. N. 42. Sukieneczka z bluzką marszczoną.



N. 43. Sukieneczka z vêtement. N. 44. Sukieneczka z marszczonym przodem.



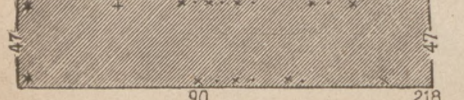
N. 45. Sukienka z vêtement. Patrz ryc. 46.



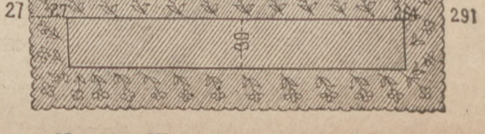
N. 48. Suknia z draperyą. N. 49. Suknia z vêtement.



N. 46. Sukienka z vêtement. Patrz ryc. 45.



N. 47. Wymiar draperyi do ryc. 36 w N. 48.



N. 50. Wymiar szalika jedwabnego z koronkowym szlakiem. Patrz ryc 4.



Pl. 558.

No 50

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.